









# MARYA MAGDALENA

Константин Котис

PRAWO WYSTAWIENIA  
ZASTRZEGA SOBIE TŁÓMACZ.



FRYDERYK HEBBEL.

# MARYA MAGDALENA

DRAMAT W TRZECH AKTACH

TEŁMACZYŁ

JÓZEF MIRSKI.



*Kocina Kocina*

---

---

BRODY - W STYCZNIU 1905. ———  
ODBITO W DRUKARNI FELIKSA WESTA. ———

---

---



A-18983

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

literat. 13c

K. 1160/56/726



Dr. Ryszardowi M. Wernerowi,

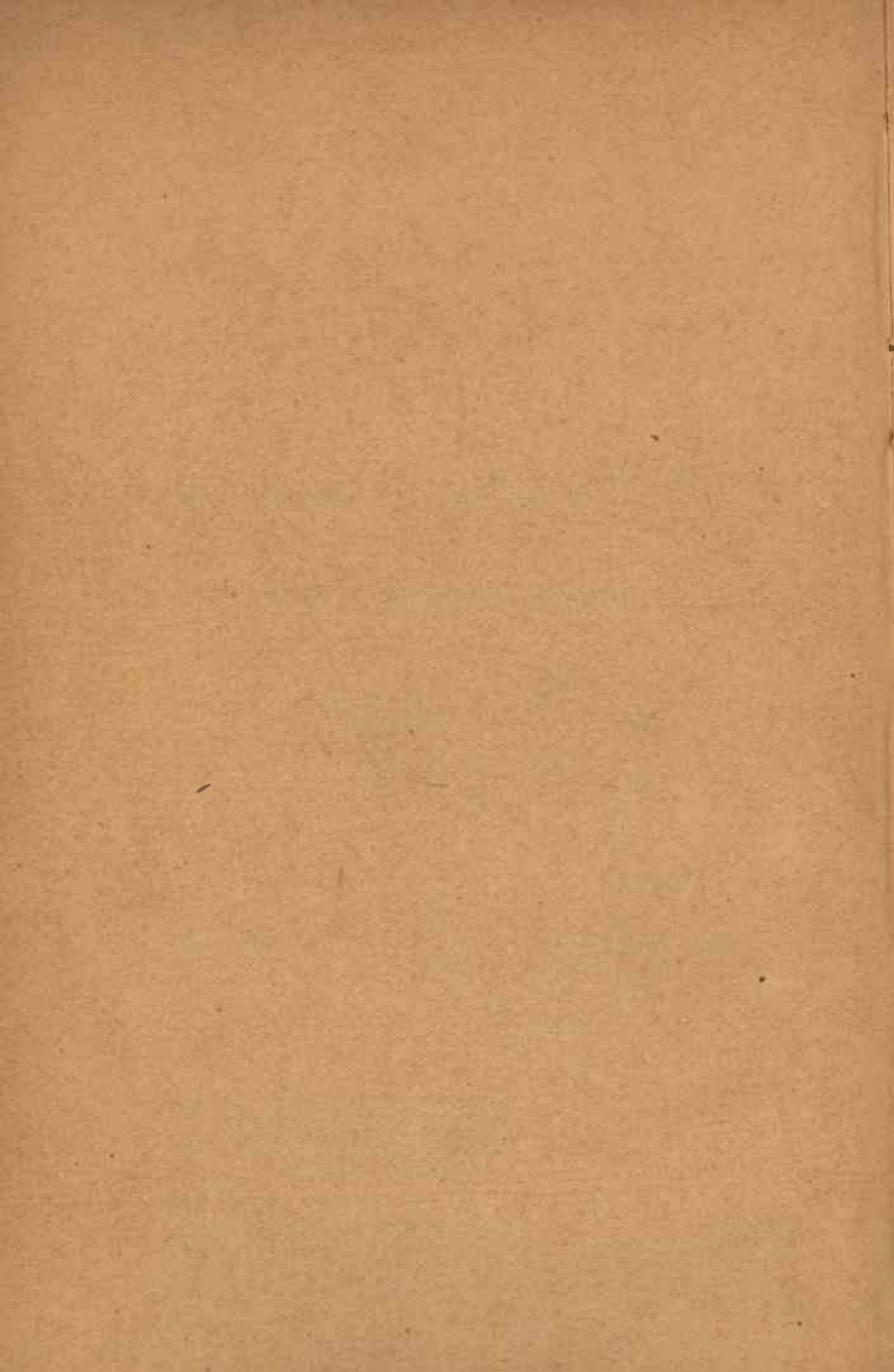
profesorowi lwowskiego Uniwersytetu,

znakomitemu znawcy Hebbła

pracę tę poświęca

Piómacz.

~~Книжниця Котис~~



## PRZEDMOWA.

---

Rok 1813. dał Niemcom trzech genialnych ludzi, a u wszystkich nich bił silnie puls dramatyczny.

Oto oni: Fryderyk Hebbel, Otto Ludwig i Ryszard Wagner.

Jako tragurg, przewodzi im Hebbel; Ludwiga zgryzł robak skeptycyzmu i dyalektyki twórczenia; R. Wagner poszedł swoją oddzielną drogą: drogą „arcydzieła przyszłości“.

Hebbel trwał i wytrwał; w dobie renesansu „zakapturzonych geniuszów“ święci tryumfy razem z innymi synami Dyonizosa: Kleistem, Grabhem, Büchnerem. I choć sam życzył sobie w świątyni sztuki dramatycznej jeno ciszy z Kleistem i Grillparzerem, dziś zajmuje ją godnie obok nich w Panteonie tragosu.

Syn murarza, urodzony w protestanckim miasteczku Wesselburen, w księstwie Holsztyń-

skiem, przeszedł „jak Dant za życia przez piekło“; jeden z najznakomitszych autodyktów, samokształtujących w sobie ducha i umysł, najświatlejszy typ Niemca, badającego intuicyą i zaciekłą dyalektyką własną swą duszę i metafizyczny związek między myślącym i czującym podmiotem a przedmiotem-światem; jak każdy „wielki“, zadziwiająco wszechstronny: dramaturg, liryk, epik, filozof, historyk.

U Hebbła w całej pełni objawia się rys zasadniczy fizyognomii twórczej Niemców — rzucanie tęczy sztuki na granitowych podwalinach teorii i teoremów filozoficznych; u geniuszów płynnie sztuka twórcza i filozofia z jednego źródła: obie wnikają w siebie, uzupełniają się i oświetlają wzajem; tak było u Schillera, Goethego; tak u Hebbła; u poetów „minorum gentium“ — „idea“ i „tendencya“ przebija zawsze przez „zmysłową“, konkretną powłokę. U tamtych rzecz ta dzieje się spontanicznie, u tych — świadomie. \*)

---

\*) Przedstawicielami tej „elementarnej“ twórczości, nam Polakom, tak właściwej, będą owi trzej wymienieni: Kleist, Grabbe, Büchner, chociaż dalszą ich ewolucyę psychiczną przecięła przedwczesna śmierć

*Nie tu miejsce na przedstawienie wielce oryginalnej i ciekawej estetyki hebbrowskiej. — Dla zrozumienia jego dramatów najważniejszym jest pojęcie „winy tragicznej“.*

*Hebbel zarzucił dawną „winę“, płynącą z etyki chrześcijańskiej i z dogmatu „wolnej woli“, a przyjął winę bardziej „metafizyczną“. Nie w kierunku, w jakości woli tkwi ona, ale w woli samej, jako takiej, raczej w jej sile. Świat i człowiek, społeczność i jednostka, „Wola“ elementarna i wola indywidualna, indywidualium i „idea“ — oto anioł i szatan, światło i noc, dwa wrogie, a rządzące światem pierwiastki. Indywidualność sama w sobie — w najszerszym znaczeniu, jako jednostronność, przekraczająca miarę społeczną — jest przeciwną przeciw — całości; to są korrelaty; indywidualność — to emancypacja z więzów gromadzkich; gromada — to śmierć indywidualności, wróg jej na śmierć i życie; — oto jest „wina“ przy- i wrosła każdemu człowiekowi z urodzenia; zatem wina bez winy; kończy się ta walka zawsze zniszczeniem indywidualności dla „dobrego gatunku“. To jest tragizm. Tragizm ten widział Hebbel w życiu*

i wcielał go w swoją sztukę \*) Na tem tle rozwija się cały jego dramatyczny teatr.

Oto najważniejsze w tym względzie dzieła, wyliczone w porządku chronologicznym :

„Judyta“ — tragedia, powstała w roku 1839/40;

„Genowefa“ — tragedia, powstała w roku 1840/41;

„Dyament“ — komedia, powstała w roku 1841;

„Marya Magdalena“, (pierwotnie „Klara“) — dramat, powstał w roku 1843;

„Julia“ — dramat, będący właściwie drugą częścią „Maryi“, a zawierający problem „Upiórów“ ibsenowskich powstał w roku 1845/7;

„Herodes i Maryanna“ — tragedia, powstała w roku 1847—9;

„Rubin“ — komedia, powstała w r. 1849;

„Agnieszka Bernauer“ — tragedia „niemiecka, powstała w roku 1851;

„Gyges i jego pierścień“ — tragedia, powstała w r. 1853/4;

---

\*) Niech mi tu będzie wolno zaznaczyć domyslny wpływ schopenhauerowskiej „Woli“ i heglowskiej „Idei“.



„Nibelungi“ — trylogia, powstała w roku 1855—60.

Dla nas Polaków ciekawym jest przedewszystkiem „Dymitr“ (Samozwaniec), tragedia wspólnie założona, niestety! podobnie jak schillerowska pozostawiona w fragmencie, wprawdzie dość znacznym, bo obejmującym zwyż 4 akty.

O „Maryi Magdalenie“ słów kilka: trzecie z rzędu dzieło, pisane w r. 1843, a pierwszy dramat „realistyczny“ Hebbła — posiada zasadnicze i pierwszorzędne zalety jego dramaturgii: „dramatyczne“ życie, płynące z ciasnoty zbyt „jednostronnej“, „indywidualnej“ stosunków małomiasteczkowych, której przedstawicielem jest majster Antoni, a o którą, jak dzikie ptaki w klatce, rozbija się cała jego rodzina; pozatem głębszą „ideę“ rdzennie hebbłowską; charakterystykę osób przewyborną, ostrokonturową, że każda, jak w reliefie, się odrzyna od tła; a nadewszystko technikę jędrną, skoncentrowaną na punkt zasadniczy, eksplikującą temat z żelazną konsekwencją, technikę t. zw. „analityczną\*“), w czem, jak i pod

---

\*) Tak nazywamy technikę, wychodzącą z nieznaney „przedfabuły“, która dopiero w ciągu dramatu się rozwija, w przeciwstawieniu do „syntetycznej“, budującej dramat „ab ovo“.



wieloma innymi względami jest Hebbel Janem  
Chrzczicielem Ibsena.

Umarł Hebbel w r. 1863.

Ciekawych odsyłam do znakomitego kryty-  
czno-historycznego wydania Hebbla, które jest  
dziełem profesora Uniwersytetu lwowskiego, Dr.  
Ryszarda M. Wenera; jakoteż do najnowszego  
popularnego wydania Bartelsa, wyszłego nakładem  
i drukiem „Deutsche Verlags-Anstalt“.

Wiedeń, w lutym 1905.

**Józef Mirski.**



## O S O B Y:

---

Majster Antoni, stolarz.

Jego żona.

Klara, ich córka.

Karol, ich syn.

Leonard.

Sekretarz.

Wolfram, kupiec.

Adam, woźny sądowy.

Drugi woźny.

Chłopak.

Dziewczyna.

Rzecz dzieje się w miasteczku.

---



# A K T I.

*Izba w domu majstra stolarskiego.*

I. SCENA.

*Klara i Matka.*

**Klara.** Twoja ślubna suknia? Jakże ci z nią do twarzy... Wygląda, jakby ci ją na dziś uszyto.

**Matka.** Tak, dziecię moje, moda tak długo naprzód idzie, aż dalej pójść nie może, i zawrócić musi. Ta suknia już z dziesięć razy wychodziła z mody, a zawsze przecie wracała do niej.

**Klara.** No! — tym razem jednak to niezupełnie, kochana mateczko! — Rękawy są za szerokie.. Ale niech cię to nie gniewa!

**Matka** (*śmiejąc się*). Musiałabym chyba wprzódy być tobą..

**Klara.** Więc take-ś mamó nigdyś wyglądała? — Ale i wieniec też miałaś na głowie — nieprawdaż?

**Matka.** Spodziewam się! — Bo i pocóżbym była przez lata całe pielęgnowała ten krzak mirtowy w czerepie?

**Klara.** Tak często cię prosiła — a tyś nigdy jej wdziac nie chciała... Mówiłaś zawsze: „to już nie moja ślubna suknia, jeno śmiertelna“ — a z tem igrać nie należy.. Wkońcu nie mogłam wcale na nią patrzeć, bo gdy tak tu wisała — bialusia całkiem, przywodziła mi zawsze na myśl śmierć twoją i ten dzień, kiedy stare baby przez głowę ci ją przewlekać będą... Czemuż więc dziś?

**Matka.** Gdy człowiek leży tak ciężką powalony chorobą, jak ja — i nie wie, czy wróci do zdrowia, — wtedy niejedno mu przejdzie przez głowę.. śmierć jest straszniejszą, niż się zwykle myśli... Och! jakże gorzką jest śmierć! Świat cały zaciemnia, — zdinuchuje wszystkie światła-- jedno po drugim, — te barwne i wesołe światła, które wkoło nas jaśnieją; — przestają przyświecać przyjazne oczy męża i dzieci, — i wszędzie nic — ino mroki, — ale w sercu zapala śmierć inne światło, — tam staje się jasność ogromna— i wtedy widzi się wiele, bardzo wiele, nawet to czego by się widzieć nie chciało.. Ja na sumieniu niczego złego nie mam,.. bożemi drogami chodziłam; — harowałam przy gospodarstwie, ile się dało, — ciebiem i brata twego w bojaźni bożej wychowałam — i gorzką krwawicę ojca waszego trzymałam w garści; umiałam też zawsze zaoszczędzić nieco grosza dla biedaków, — a jeśli kiedyś którego z niczem odprawiłam, gniewną będąc właśnie, albo że ich za wiele przybyło— to nie było to dla niego nieszczęściem, bom go

z pewnością zaraz znowu przywoływała i podwójną dawała mu jałmnżnę..

Ale co to wszystko znaczy? Człowiek przecież drży przed ostatnią godziną, gdy ona groźnie się zbliża i wije się, jak robak, — błagając Stwórcę o życie, jak sługa błaga pana, by mu pozwolił źle wykonaną robotę ponownie rozpocząć, ażeby w dniu zapłaty nie pozostał w tyle...

**Klara.** Przestań, mateczko, mówić o tem... Ciebie to osłabia...

**Matka.** Nie — dziecię — dobrze mi z tem... Czy nie stoję tu, — przed tobą, pełna sił czerstwych i zdrowia? Czy nie na to Pan mię wezwał bym poznała, że moja szata godowa jeszcze nie czysta i nie zupełnie bez plam? — i czy nie na to mnie zawrócił od brania grobu i czas dał, abym na owe gody niebieskie godziwie ustroić się mogła? — Tak łaskawym nie był on nawet dla tych siedmiu dziewic z Ewangelii św., o których mi wczoraj wieczorem musiałaś czytać... Dlatego dziś — przystępując do świętej komunii, tę suknię wdziała.. Bom ją nosiła w dniu, w którym powzięłam najczystsze i najpiękniejsze zamiary mojego życia... Niechże mi o tych jeszcze przypomina, których nie spełniłam..

**Klara.** Wciąż jeszcze tak mówisz, mamó jak w czasie choroby...

## II SCENA.

**Karol** (*wchodzi*). Dzień dobry, matko! Cóż Klaro? mogłażbyś mnie zniesć, gdybym nie był twoim bratem?



**Klara** Złoty łańcuszek? — Skądże go masz?

**Karol.** A za cóż się pocę? — Za co wieczorem dwie godziny dłużej robię, niż inni?... Ty!.. jesteś bezczelna!..

**Matka.** Już znowu swary — i to w niedzielę? — Wstydzę się Karolu!..

**Karol.** Matko, nie masz guldena dla mnie?

**Matka.** Nie mam pieniędzy — prócz tych, które mi na dom są potrzebne..

**Karol.** No! to mi z tych daj!.. Nie będę się krzywił, jeżeli przez 2 tygodnie legumina trochę pośniejszą będzie.. Takeś przecie zawsze robiła.. Wiem to dobrze.. Gdy się szczeniło na suknię dla Klary, — to przez miesiące całe żaden smakołyk nie pokazał się na stole.. Przymykałem oczy — ale dobrze wiedział, że już gdzieś.. jakieś nowe czupiradło na głowę, albo inny jakiś łach — w drodze..

**Matka.** Jesteś bez wstydu!

**Karol.** Nie mam ino czasu, bobym juz..  
(*chce odejść*).

**Matka.** Dokąd idziesz?

**Karol.** Nie powiem ci, — to będziesz mogła, jak stary niedźwiedź zapyta o mnie, powiedzieć mu bez zaczerwienienia, że nie wiesz nic.. Zresztą twoich pieniędzy nie trza mi wcale.. lepiej, gdy nie z jednej studni wszystkiej trza czerpać wody.. (*do siebie*) Tu w domu przecie zawsze o mnie najgorzej myślą.. Czemużby



więc nie miał się cieszyć z tego, że ich tak dręcę strachem... Czemużbym miał im powiedzieć, że nie dostawszy guldena teraz już muszę pójść do kościoła, jeżeli mnie z kłopotu nie wybawi jakiś mój kompan?... (*wychodzi*).

### III. SCENA.

**Klara.** Co to ma znaczyć?

**Matka.** Ach! on mi serdeczny ból sprawia...

Tak... tak... Ojciec ma słuszność; to są skutki.. Jak niegdyś, — gdy jeszcze był dzieckiem z kędzierzawą główką, słodko prosił o kawałek cukru, tak teraz gwałtownie domaga się guldena... Czy naprawdę nie żądałby teraz tego guldena, gdybym mu była wtenczas kawałka cukru odmówiła? O! to mnie często dręczy... Myślę też, że mię nawet wcale nie kocha... Czyś go choć raz widziała płaczącego w czasie mojej choroby?

**Klara.** Widziałam go przecie rzadko. — prawie nigdy, jak tylko przy stole.. Miał więcej odemnie apetytu.

**Matka** (*prędko*) To było naturalne. — przecież ciężko musiał pracować..

**Klara.** Pewnie! — a zresztą jacy to ci mężczyźni! Oni łez swoich bardziej się wstydzą, niż grzechów swoich.. Pięść zaciśniętą — hm! tej to czemuż nie pokazać, ale oko łzami zaszłe? — Albo ojciec! — Czyż nie szlochał na swojej ławie stolarskiej po południu, jak ci żyłę przecięto a krew nie napływała, — aż mi się serce krajało! — Ale kie-

dym do niego przystąpiła i pogłaskała po twarzy, to cóż mi powiedział: „Popróbuj, — czy mi tej przekłetej drzazgi z oka nie wyjmiesz.. Człowiek ma tyle do roboty, a tu ani rusz dalej!..“

**Matka.** Tak.. tak.. Ale nie widziałam wcale Leonarda.. Skąd ze to?

**Klara.** Niech sobie nie przychodzi!..

**Matka.** Spodziewam się, że się z nim gdzie- indziej nie schodzisz, jak tu w domu..

**Klara.** Czym może kiedy za długo bawiła poza domem, kiedy szła wieczorem do studni, iżbyś miała powód do podejrzeń?

**Matka.** Nie, — to nie!.. Ale tylko dlatego mu pozwoliła tu do nas przychodzić, by nie czatował na ciebie o zmroku.. Tego i moja matka nie cierpiała..

**Klara.** Ja się z nim nie widuję..

**Matka.** Cóż się dąsacie na siebie? — Ja go zresztą bardzo lubię, — taki stateczny!.. Gdyby tylko wprzód czemś był! — O! za moich czasów nie potrzebowałby długo czekać.. Toż się panowie darli o dobrego pisarza, jak kalecy o kulę — bo ich niewielu było.. No i my, pomniejsi ludzie nieraz go potrzebowali. Dziś synowi wykalkulował życzenie nowego roku dla ojca, — i za samą pierwszą literę złoconą tyle dostawał, że można było za to dziecku kupić pajaca. Jutro znowu ojciec nań skinął i kazał sobie gratulację przeczytać skrycie, przy zamkniętych

drzwiach, aby niespodzianie nań nie spadła i aby tajemnicę wprzód odkryć — to znowu podwójną dawało zapłatę... O! wtedy pisarze byli górą, a wraz z nimi i piwo szło w górę... Teraz to już inaczej, — teraz my starzy, co się ani na pisaniu ani na czytaniu nie rozumiemy, musimy być pośmiewiskiem dla dziewięcioletnich chłopaków. Świat coraz bardziej mądrzeje... może jeszcze przyjdzie czas, gdy się człowiek będzie musiał wstydić, że na linie tańczyć nie umie..

**Klara.** Dzwonią w kościele.

**Matka.** Pójdę pomodlić się za ciebie, dziecię. A co do twego Leonarda, kochaj go tak, jak on kocha Boga, ani mniej, ani więcej. Tak powiedziała do mnie moja stara matka, gdy schodziła ze świata i ostatnie mi dawała błogosławieństwo. Dość długo je przechowywałam. — oto dziś tobie je zwracam.

**Klara** (*podaje jej bukiet*). Weź to, mamo.

**Matka.** Pewnie od Karola?

**Klara** (*potakuje; na stronie*). Chciałabym, by tak było. Co jej ma sprawić przyjemność, to musi od niego pochodzić.

**Matka.** On taki dobry i tak mnie kocha. (*odchodzi*).

**Klara** (*patrzy na nią przez okno*). Oto idzie... Trzy razy śniło mi się, że leży już w trumnie, a teraz... — O te złośliwe sny! biorą na sielwie szaty naszych lęków, aby nadzieje nasze przera-

zać! — Jak silnie i pewnie stąpa! — Oto już blisko cmentarza... Kto też ją pierwszy spotka? — To nic niema znaczyć; myślę tylko, że... (*przerazona wstrząsa się*). — Grabarz!! właśnie grób wykopał i wychodzi zeń — ona go pozdrawia i patrzy z uśmiechem w ciemny dół — teraz wrzuca węń bukiet i wchodzi do kościoła. (*słychać chór*) Śpiewają: „Dziękujcie wszyscy Panu!“ (*składa ręce*) tak... tak... gdyby mi matka była umarła, nigdybym nie odzyskała spokoju, bo... (*podnosząc oczy ku niebu*). Ale Tyś miłościw, Tyś łaskaw!... Chciałabym należeć do katolickiego kościoła,\*) żeby mi wolno było, czemś Cię udarować.. Całą moją skarbonkę bym wypróżniła, ażeby kupić ci serce złożone i kwiatami je owinać.. Nasz pastor powiada, że w obliczności Twojej niczem są wszelkie dary, bo wszystko jest Twojem, że więc nie należy dawać Ci tego, co już masz... Ależ wszystko, co tu w domu się znajduje, jest także własnością mego ojca, a przecie chętnie to widzi, gdy mu za własne jego pieniądze chustę kupię, pięknie wyszyję i w dzień urodzin złożę na misie... Nawet czyni mi ten zaszczyt, że ją tylko podczas najuroczystszych świąt nosi — na Boże Narodzenie, albo Zielone Świątki... Raz widziałam malusie dziewczątko katolickie, jak swoje czereśnie niosło do ołtarza... Jak mnie to za serce chwyciło! Były to pierwsze w roku, które dziecko dostało — widziałam, jak się paliło,

---

\*) Rzecz dzieje się w milieu protestanckiem. (Przyp. tłóm.)

by je spożyć... Przecież zwalczyło niewinną żądę, — szybko rzuciło je, byle czempredziej pokusie kres położyć... Ksiądz mszę odprawiający i podnoszący właśnie kielich, popatrzył na nie groźnie, a dziecko uciekło przerażone... Maryja jednak nad ołtarzem uśmiechnęła się tak łagodnie, jakoby z ram obrazu wystąpić chciała, pobiedz za dzieckiem i ucałować je... Uczyniłam to za nią — Leonard idzie... Ach!

#### IV. SCENA.

**Leonard** (*za drzwiami*) Czyś już ubrana?

**Klara.** Czemuż to tak czule, tak delikatnie? Przecieżem wciąż jeszcze nie żadna księżniczka.

**Leonard** (*wchodzi*). Myślałem, żeś nie sama. Przechodząc, zdawało mi się, że córka waszego sąsiada, Basia stoi przy oknie.

**Klara.** Aha! więc dlatego?

**Leonard.** A tyś ciągle zgryźliwa? Możliwy przez czternaście dni być zdala od ciebie, — deszcz i słońce mogłyby się dziesięć razy na niebie przemienić, a na twojej twarzy, gdy się wreszcie powróci, zawsze ta sama chmura.

**Klara.** Były też i inne czasy.

**Leonard.** Zaprawdę! gdybyś była zawsze tak wyglądała, jak teraz, nigdybyśmy nie byli stali się dobrymi przyjaciółmi...

**Klara.** I cóż mi po tem...?

**Leonard.** Tak-że to wolną odemnie się czu-



jesz? mógłbym się na to zgodzić. W takim razie (*ironicznie*) twój ból zębów onegdaj był bez znaczenia?

**Klara.** O Leonardzie! to nie było godziwem z twojej strony!...

**Leonard.** Nie było godziwem to, że mój swój największy skarb — bo ten ty dla mnie jesteś — chciał ostatniem jeszcze ogniwem sprządz ze sobą? I to w chwili, gdy mi groziło niebezpieczeństwo stracenia go? — Czy myślisz, że mój tych cichych spojrzeń nie widział, któreś zamieniała z sekretarzem? Toż to był dla mnie dzień radości! Prowadzę cię do tańca — i...

**Klara.** Bez ustanku mnie dręczysz... Patrzyłam na sekretarza — czemużbym miała przeżyć? Ale tylko z powodu jego wąsów, które sobie tam — w akademii takie długie zapuścił i które mu tak... (*urywa*).

**Leonard.** Do twarzy? nieprawdaż? toś przecie chciała powiedzieć? — Och! wy kobiety! Wam się żołnierskie cacka, choćby w najlichszej karykaturze podobają. Mnie ta mała, śmiesznie okrągła twarz tego gamonia — nie kryję, że mój rozgoryczony na niego, bo mi dość długo stał na zawadzie w drodze do ciebie — z tym lasem włosów, co mu ją na dwoje przecina, wydała się, jak mordka białego królika. co się gdzieś skrył poza krzaki...

**Klara.** Jeszczem go nie chwaliła, nie masz więc potrzeby go tak poniżać.

**Leonard.** Zdaje się, że ciebie jego osoba ciągle jeszcze żywo obchodzi...

**Klara.** Jako dzieci, bawiliśmy się razem a potem — wiesz dobrze...

**Leonard.** O tak!.. wiem. Ale właśnie dlatego...

**Klara.** Więc było zupełnie naturalnem, że skoro go od tak długiego czasu po raz pierwszy zobaczyłam, popatrzyłam na niego i zdziwiłam się, jaki on duży i — *wzywa. wzywa*

**Leonard.** Czemuś się zaczerwieniła, gdy on znowu na ciebie popatrzył?

**Klara.** Zdawało mi się, że patrzy na brodawkę na mojem lewem policzku, — czy i ona nie urosła. Wiesz, że zawsze mi się tak wydaje, kiedy ktoś na mnie tak uparcie spogląda i że się wtedy zawsze czerwienię... Bo mam uczucie, jakby ta brodawka naprawdę rosła, jak długo kto w nią się wpatruje.

**Leonard.** Bądź co bądź — po mnie mróz przeszedł! i pomyślałem: dziś jeszcze wieczór wystawię ją na próbę — przekonam się: jeśli chce zostać moją żoną, to wie, że nie nie zaryzykuje, a jeśli odmówi, to...

**Klara.** O! złe, złe wyrzekłeś słowo, kiedym cię odtrąciła i zerwała się z ławki. Księżyc, który mi dotąd ku pomocy tak jasno świecił w altanę, zatonął gdzieś chytrze w chmurach, chciałam uciec, ale czułam, że mię coś zatrzymuje — myślałam najpierw, że to ty, ale był



to krzak róży, co mi się sukni cierniskami, jak zębami, uczeplił i trzymał. Tyś lżył moje serce, a ja sama już mu nie ufałam, stałeś przedemną, jak wierzyciel żądający długu, a ja — o Boże!

**Leonard.** Dziś jeszcze tego nie żałuję... Wiedziałem, że tylko w ten sposób mogę cię przy sobie zatrzymać... Dawna miłość — z czasów młodości, znów odemknęła oczy — musiałem je czempredzej przywrzeć...

**Klara.** Kiedym wróciła do domu, zastałam matkę chorą, śmiertelnie chorą... Coś ją nagle powaliło na łoże, jakby jakaś niewidzialna ręka... Ojciec chciał po mnie posłać — matka nie pozwoliła, by mi nie psuć uciechy... Och! jakiegoż doznałam uczucia, gdym to usłyszała; stałam na uboczu — nie śmiałam jej dotknąć, drżałam. Ona to wzięła za zmartwienie dziecka i skinieniem wezwała mnie do siebie... Gdym się zwolna zbliżyła, przyciągnęła mnie ku sobie i na moje skalane usta złożyła pocałunek. Byłam blizka omdlenia, chciałam jej wszystko wyznać, chciałam zawołać do niej, com wtedy czuła i myślała: „Przezemnie tu leżysz!“ Byłabym to zrobiła, ale lży i łkanie zdławiły moje słowa; ona chwyciła rękę ojca i rzekła, patrząc na mnie błogiem i oczyma: „co za serce!“

**Leonard.** Dziś matka znowu zdrowa.. Przyzedłem, by jej pogratulować i — jak myślisz?

**Klara.** I...?

**Leonard.** Ojca o twą rękę poprosić.

**Klara.** Ach!

**Leonard.** Czyś nie zadowolona z tego?

**Klara.** Nie zadowolona? — Byłoby to dla mnie śmiercią, gdybym wkrótce nie stała się twą żoną; — ale nie znasz mojego ojca... On nie wie, co nas nagli do pośpiechu, on tego wiedzieć nie może, — a my nie możemy mu tego powiedzieć: — on zaś tysiąc razy już oświadczył, że tylko temu swą córkę odda, który, jak on to mówi, — nie tylko ma miłość w sercu, ale i chleb w szafie dla niej! Powie ci: czekaj rok jeszcze, mój synu, albo dwa, — i cóż mu na to odrzekniesz? —

**Leonard.** Głuptaszku! ta trudność została właśnie usunięta. Dostałem już posadę, — jestem kasjerem

**Klara.** Ty — kasjerem? — a drugi kandydat, siostrzeniec pastora?

**Leonard.** Upił się; — gdy przyszedł do egzaminu, złożył pokłon przed piecem, zamiast przed burmistrzem a gdy siadał, stracił trzy filiżanki ze stołu... Wiesz, jaki ten stary w gorącej wodzie kąpany — Panie Boże! jak się porwał! — ale się jeszcze pohamował, zagryzł tylko wargi, a oczy mu świeciły po przez szkła okularów, jak dwie żmije, co się do rzutu gotują, i każdy mu się rys twarzy napiął... Przystąpiono do rachunków i — ha! ha! ha! mój współzawodnik począł liczyć wedle tabliczki mnożenia własnego pomysłu, która zupełnie nowe dawała rezultaty.

„Ten pan się przerachowuje!“ rzekł burmistrz i podał mi ze spojrzeniem, w którym wyczytałem dekret — rękę, a ja ją, choć śmierdziała tabaką, podniosłem kornie do ust; — tu jest, podpisany i zapieczętowany!...

**Klara.** To jest...

**Leonard.** Niespodzianka? nieprawdaż? No ale... to tak znowu z nieba na mnie nie spadło! — Czemu to przez czternaście dni się u was nie pokazywałem?

**Klara.** Czy ja wiem? myślałam, że dlatego, bośmy się ostatniej niedzieli rozstali w gniewie..

**Leonard.** Tę małą kłótnię ja sam chytrze spowodowałem, abym bez zbytniego zwracania uwagi mógł nie przychodzić...

**Klara.** Nie rozumiem ciebie...

**Leonard.** Wierz mi! — Czasu tego użyłem na to, by tej garbatej siostrzenicy burmistrza, która ma na starego tyle wpływu i która mu jest prawą ręką, jak woźny sądowy lewą, — honory robić — Zrozum mnie należycie! — Jej samej znowu żadnych duserów nie prawiliem, z wyjątkiem jednego komplementu co do jej włosów, które, jak ci wiadomo, są rude; — powiedziałem jej tylko, co się jej bardzo podobało, — to i owo o tobie...

**Klara.** O mnie?

**Leonard.** Czemużbym miał o tem zamilczeć? Przecież to w najlepszej stało się intencji; — tak, jakbym nigdy seryo nie myślał o ciebie się u-

biegać, jakbym... Ale dosyć! — Trwało to tak długo, aż ten dokument miałem w rękach, a w jakim to wszystko zamiarze się działo, pozna ta łatwowierna, szalejąca za chłopcami gęś, skoro posłyszysz w kościele o naszych zapowiedziach!—

**Klara.** Leonardzie!!

**Leonard.** Dziecię! dziecię! bądź ty bez fałszu jak gołąb, a ja chcę być mądry, jak wąż, a wtedy przypowieści ewangelicznej, — bo-ć przecie mąż i żona to tylko jedno — odpowiemy w zupełności. (*Śmieje się*) I znowu nie tak samo przez się zdarzyło się, że młody Herman w najważniejszej chwili swego życia był pijany. Pewnieś nigdy nie słyszała, żeby ten człowiek się zapijał?

**Klara.** Ani słowa.

**Leonard.** Tem łatwiej plan mój się powiódł Trzy szklanki zrobiły swoje. Kilku moich przyjaciół musiało nań wprzódę natrzeć:

„Czy można już gratulować?“

„Jeszcze nie“.

„O! -- to już fakt dokonany! — twój wuj—“

A potem: „pij! bracie, pij!“ —

Kiedym dziś rano szedł do ciebie, stał nad rzeką, i patrzył, opierając się o poręcz mostu, ponuro na dół. Ukłoniłem mu się szyderczo i zapytałem, czy mu się coś w wodzie podoba? — „O tak — rzekł, nie podnosząc oczu — i może dobrze będzie, jeśli sam po to wskoczę..“

**Klara.** Nikczemniku! precz mi z oczu! —

**Leonard.** Ta-ak? (*jakby chciał odejść*)

**Klara.** O Boże! i do tego człowieka ja przykuta!

**Leonard.** Nie bądź dzieckiem! — A teraz jeszcze słówko w zaufaniu. Czy ojciec twój ma jeszcze owych tysiąc talarów na aptecę?

**Klara.** Nic o tem nie wiem.

**Leonard.** Nic o tak ważnym punkcie?

**Klara.** Oto nadchodzi ojciec...

**Leonard.** Zrozum mnie! Aptekarz blizki bankructwa, dlatego się pytam.

**Klara.** Muszę pójść do kuchni. (*wychodzi*)

**Leonard.** (*sam*) W takim razie nie byłoby tu na co liczyć. Nie mogę sobie wprawdzie tego wyobrazić, bo majster Antoni jest człowiekiem tego... pokroju, że gdyby mu o jedną literę więcej na kamieniu grobowym wryto, onby z pewnością tak długo jako upiór błąkał się dokoła, ażby mu ją znowu wytarto; -- bo za nieuczciwe by poczytał przywłaszczyć sobie jedną literę więcej z alfabetu niż mu się należy.

## V, SCENA.

Ojciec, **Majster Antoni** (*wchodzi*).

Dzień dobry, panie kasyerze! (*zdejmuje kapelusz a wkłada na głowę czapkę wełnianą*) Czy wolno staremu człowiekowi nakryć głowę?

**Leonard.** Już wiecie tedy?

**Majster Antoni.** Jeszcze wczoraj wieczorem. Słyszałem, gdym szedł do młynarza, co to mu się zmarło, by mu wziąć miarę na ostatniemieszkanie—

jak kilku twoich dobrych przyjaciół kpiło z ciebie..

Aha! — pomyślałem natychmiast — pewnie Leonard karku nie złamał. W domu nieboszczyka posłyszałem nieco bliższe szczegóły od zakrystyana, co na chwilę przedemną przyszedł, by pocieszyć wdowę — a przytem samemu się upić! —

**Leonard.** A Klara dopiero dziś musiała się o tem odemnie dowiedzieć?

**M. Antoni.** Kiedy jego nie ciągnęło dziewczę sprawić uciechy, jakże mnie miało ciągnąć? Nie zapalam w swoim domu żadnych świeczek, prócz tych które do mnie należą. Wtedy wiem, że tu nikt mi przyjść nie może, — ktoby mi je pogasił właśnie wtedy, gdy ja się niemi najbardziej cieszę.

**Leonard.** Nie mogliście przecie o mnie myśleć..

**M. Antoni.** Myśleć? — O kimś wogóle? Ja sobie coprawda deski heblem na miarę obheblowuję, ale nigdy ludzi — myślami. — Z tej głupoty jużem dawno wyrósł. Kiedy widzę, jak drzewo się zieleni, wtedy myślę sobie: Oto wkrótce zakwitnie; — a kiedy już kwitnie: Oto wkrótce wyda owoce. I ta rachuba nigdy mnie nie zwodzi, dlatego nie wyzbywam się tego starego przyzwyczajenia. Ale o ludziach nic nie myślę; — zupełnie nic, nic złego, nic dobrego, — i nie potrzebuję — tak naprzemian wedle tego, czy ziszczą obawę moją, czy zawiodą nadzieje, — czerwienić się lub blednąć. — Ja tylko wzbogacam doświadczenie swoje, — biorę przykład z obu oczu, które także nie myślą, jeno patrzą. Co do



niego myślałem, że już całe zrobił o nim doświadczenie teraz znajduję go tutaj i — muszę przyznać, — że ono tylko połową było...

**Leonard.** Majstrze Antoni. — fałszywą zupełnie drogą idziecie: drzewo zależy od wiatru i pogody, człowiek ma w sobie prawa i przepisy...

**M. Antoni.** Tak on myśli? — Tak! — my starzy winniśmy wiele wdzięczności śmierci, że nam pozwalać długo wśród was młodych bawić i daje nam możność kształcenia się. — Dawniej świat głupi myślał, że ojciec jest na to, by syna wychowywać, a na odwrót syn miał ojcu dawać ostatnią politurę, by się biedak prostak nie potrzebował w grobie robaków wstydić. — Bogu dzięki! — ja w swoim Karolu dobrego znalazłem nauczyciela, który nie rozpieszczając starego dziecka pobłażaniem, występuje do walki przeciw moim przesądom...

I tak dziś rano jeszcze dał mi dwie nauki i to w najzręczniejszy sposób, nie otwierając wcale ust, — nie pokazując mu się nawet a raczej właśnie przez to: po pierwsze pouczył mnie, że nie potrzeba słowa dawnego dotrzymywać, — po drugie, że jest rzeczą zbędną chodzić do kościoła i umacniać w sobie prawa boże...

Wczoraj wieczorem mi to przyrzekł, a ja spuściłem się na to, że przyjdzie, bom myślał: — przecie zechce dobrotliwemu Stwórcy za wyzdrowienie matki podziękować. Ale — nie było go; — było mi w mojem krześle, które co prawda dla dwojga osób jest nieco za ciasne, — zupełnie wy-



godnie i przestronno. — Czyby mu też po myśli było, gdybym tak — zaraz tą nauką się przejął — i mojego też słowa mu nie dochował? — Przyobiecalem mu na urodziny ubranie nowe sprawić. — Miałbym więc sposobność wypróbować jego radość z powodu mojej pojętności. Ale ten przesąd! ten przesąd! Nie uczynię tego!

**Leonard.** Może był niezdrów? —

**M. Antoni.** Może.. — niechno swej żony zapytam, postyszę napewno, że chory.. Bo ona o wszystkim w świecie powie mi prawdę, tylko nie o tym chłopcu — A jeśli i nie chory, — to i tę ma jeszcze wyższość świat młody nad nami starymi, że oni wszędzie zbudować się umieją, — że czy przy chwytności ptaków w sidła, czy na spacerze, czy w gospodzie, oni zawsze swoje nabożeństwo potrafią odprawić. „Ojciec nasz, który jesteś w niebie!“ — Dzień dobry, Piotrze! czy się zobaczymy wieczorem na tańcach?“ — „Święć się imię Twoje“ — Tak.. tak, śmieć się tylko Katarzyno! Śmieć! pokaże się..“ „bądź wola Twoja“ — A do dyabła! jaszczem nie zgolony! — I tak do końca, — a i błogosławieństwa samemu sobie się udziela, boć się jest przecie człowiekiem tak dobrym, jak i ksiądz, a moc, co płynie z czarnej sutanny, jest i w niebieskiej bluzie! — Ja nie przeciw temu nie mam, — a jeślibyście nawet między siedem prósb siedem kufli wstawić chcieli to i cóż? — ja nie zdołam nikomu dowieść, że piwo i religia nie licują z sobą, a może kiedyś wejdzie ten zwyczaj do liturgii, jako nowy sposób przyjmowania komunii świętej... Ja stary

grzesznik — pewnie — ja już sił nie mam dość, by iść razem z modą, — ja nie potrafię nabożeństwa na ulicy przychwycić, jak chrząszcza, — dla mnie świergot wróbli i jaskółek nie zdoła zastąpić organów; kiedy mam czuć serce wzniezione w sobie, muszę wprzód posłyszeć, jak się za mną ciężkie, żelazne bramy kościelne zawierają, i pomyśleć sobie, że to są bramy świata, — że się wysokie, ponure ściany z wążkami okienkami, które jasne, zuchwałę światło dnia zaciemniono jeno przypuszczają, jakoby je przesiewały przez sito, — że one się wkoło mnie ścieśniają, — a w dali muszę mieć widok na kostnicę z wmurowaną czaszką trupią. —

No! ale co lepsze, to lepsze!

**Leonard.** Ale bo też bierzecie te rzeczy -- zbyt skrupulatnie!

**M. Antoni.** Pewnie! pewnie! — I dziś, — jako uczciwy człowiek muszę to przyznać, — nawet to mi nie pomogło! — W kościele straciłem nabożeństwo duszy, bo wolne miejsce obok gniewało mnie, — i znalazłem je dopiero w ogrodzie pod gruszą... Dziwisz się? — Uważaj: szedłem smutny i przygnębiony do domu, jak ktoś, któremu grad wybiły zboże, — bo dzieci są jako rola, — wsiewa się w nie dobre ziarno, a rośnie — plewa.. Pod gruszą, którą gąsiennice zżarły, stałem cicho. „Ten chłopiec“ — pomyślałem — „jest jak to drzewo — puste i jałowe“ — Wtem zdało mi się że jest bardzo spragniony, i że koniecznie wejść muszę do gospody. Oszukiwałem samego siebie,

— nie chodziło mi o szklanę piwa, ale o to, by chłopca wyszukać i wyłajać, — wiedziałem, że go tam na pewno znajdę. — Właśnie pójść miałem, — w tem stare, mądre drzewo soczystą gruszkę rzuciło mi do stóp, jakby powiedzieć chciało: „masz na zaspokojenie twego pragnienia — i za to, żeś mię zelżył porównując z twoim nicponiem“ — Zastanowiłem się, — ugryzłem i poszedłem do domu.

**Leonard.** Czy wiecie, że aptekarz blizki bankructwa?

**M. Antoni.** Cóż mię to obchodzi?

**Leonard.** Tak — zupełnie nic?

**M. Antoni.** O! — o.. tak.. pewnie! — Jestem chrześcijaninem; — ten człowiek ma sporo dzieci..

**Leonard.** A jeszcze więcej wierzycieli. I dzieci są pewnego rodzaju wierzycielami.

**M. Antoni.** Szczęśliwy ten, co nie jest ni jednym ni drugim.

**Leonard.** Myślałem, że wy sami..

**M. Antoni.** O! to już dawno załatwione..

**Leonard.** Przezorny z was człowiek — Pewnieście natychmiast zwrotu swych pieniędzy zażądali, skoroście tylko spostrzegli, że z pigularzem krucho.

**M. Antoni.** O tak! nie mam potrzeby obawiać się ich straty, bom je dawno już stracił..

**Leonard.** Żarty!

**M. Antoni.** Seryo!

**Klara.** (*wygląda przez drzwi*) Wołałeś mnie, ojcze?

**M. Antoni.** Już ci dzwoni w uszach? O tobie nie było tu mowy.

**Klara.** Tygodnik — (*wychodzi.*)

**Leonard.** O! z was filozof!

**M. Antoni.** Co to się ma znaczyć?

**Leonard.** Umiecie panować nad sobą...

**M. Antoni.** Noszę niekiedy kamień młyński u szyi jako kołnierzyk z kresami, zamiast pójść z nim w wodę. Od tego kark sztywnieje.

**Leonard.** Kto potrafi, czyni to za waszym przykładem...

**M. Antoni.** Kto takiego dzielnego współtowarzysza znajduje, jak ja w nim — zdaje się — znalazłem, — ten pod ciężarem powinien nawet tańczyć — Cożeś tak zbladł? — To się nazywa współczucie!

**Leonard.** Sądzę, — że mnie nie zapoznacie.—

**M. Antoni.** O pewnie, że nie —! (*bębni palcami na komodzie*) Że też drzewo nie jest przezroczyście co?

**Leonard.** Nie rozumiem was.

**M. Antoni.** Jakże naiwnym był nasz prarodzic Adam, że pojął Ewę za żonę, chociaż była zupełnie naga i goła, i nawet liścia figowego nie wniosła mu w wiano — My obaj, — on i ja — wypędzilibyśmy ją batem z raj, — jako ulicznicę... Cóż on myśli?

**Leonard.** Wyście źli na syna; — Ja tu przyszedłem, by o waszą córkę —

**M. Antoni.** Zatrzymaj się, może i nie — odmówię.

**Leonard,** Tego się spodziewam... I chcę wam powiedzieć, co myślę. Nawet patriarchy nie gardzili posagiem swych żon. — Jakób kochał Rachelę i siedem lat ubiegał się o nią, ale cieszył się także z tłustych baranów i owiec, które u jej ojca sobie wysłużył. Sądzę, że mu to nie przynosi hańby, a chceć go przewyższyć znaczy: zawstydzić go — Chętniebym to widział, gdyby córka wasza wniosła w dom kilka setek talarów — i to było zupełnie naturalnem, — bo tem lepiej byłoby jej u mnie. Gdy dziewczyna pościel sobie przyniesie w kufrze, nie potrzebuje dopiero wełny grębłować, aui praść. No — a jeśli tego nie ma, — to i cóż? — To sobie z potraw postnych urządzimy obiad na niedzielę, a z pieczeni niedzielnej ucztę wiligijną Bożego Narodzenia. I tak się też dzieje.

**M. Antoni.** (*podaje mu rękę*) Tak — to mówisz pocziwie, a Pan Bóg skłania ucha twoim słowom. No teraz — chcę zapomnieć, że córka moja przez 14 dni wieczorem napróżno przy herbacie jedną filizankę dla ciebie zostawiała. — A teraz gdy masz mi być zięciem, chcę ci powiedzieć, gdzie owych tysiąc talarów się podziało.

**Leonard.** (*na stronie*) Raz przecie! — Nie

pozwole staremu wilkowi włazić mi w zagrodę, skoro tylko zostanie moim teściem.

**M. Antoni.** Żle mi się wiodło za młodu. Tak jak i on, nie przyszedłem od razu na świat jako jeź kolczasty. Najpierw owe kolce wszystkie były na wewnątrz zwrócone, więc mnie ludzie szczypali i drapali i obtłukiwali moją gładką, podatną skórę — ot! tak na żart i radowali się, ile razy się wstrząsałem, bo mię kolce kłuły w serce i w wnętrzności. — Ale też żarty mi się nie podobały, — odwróciłem skórę i oto weszły im kolce w palce. Odtąd miałem spokój.

**Leonard.** (*na stronie*) Nawet od dyabła samego, jak myślę.

**M. Antoni.** Ojciec mój, że to ni w dzień ni w nocy na spoczynek sobie nie pozwalał, zapracował się w 30-tym roku życia, matka moja zarabiała na mnie przędąc, ile się dało; — rosłem bez nauki; byłbym się był przynajmniej, gdybym już podrósł a jeszcze zarobić nic nie umiałem, chętnie od jedzenia odzwyczaił, ale chciałem się czasem w południe za chorego podawał i odsuwał misę, cóżto mogło pomóc? — Wieczorem zmuszał mnie żołądek uznać się zdrowym. Największą mi było męką, że byłem takim niezdarą; sam z sobą mogłem się o to swarzyć, jakby to moją własną było winą, jakbym się był w łonie matki zaopatrzył jeno w wilcze zęby, a wszystkie zdolności i potrzebne przynioty zostawił tam: czerwieniłem się z wstydu, gdy na mnie słońce patrzyło. Zaraz jakoś po mojem



bierzmowaniu w spadł do nas do izby człowiek, którego wczoraj pogrzebano, majster Gebhard. Zmarszczył czoło, — ściągnął twarz, jak to zawsze czynił, kiedy miał co dobrego na myśli, a potem powiedział do mojej matki: „Czy na toście chłopca waszego na świat wydali, by wam nos i uszy obgryzał?“ Ja się zawstydzilem i bochen, z któremu właśnie kawałek chleba chciał sobie skroić, włożyłem napowrót do szafy; matka rozgniewała się zate życzliwe słowa, — i odpowiedziała żywo, że syn jej jest uczciwym i dobrym.

„No — to zobaczymy“ — rzekł majster, — „jak ma ochotę, to może zaraz, jak tu stoi, pójsć za mną do warsztatu; nie żądam żadnej zapłaty za terminowanie, strawę będzie miał, o odzież dla niego też się postaram, a jak będzie wczas wstawał i późno kładł się spać, to mu nie zbraknie sposobności, by od czasu do czasu zarobić mógł i dla matki dobry napiwek“ Wtedy matka poczęła płakać, ja — skakać, a jakeśmy wreszcie mogli mówić, majster zatkał sobie uszy, wyszedł i jeno skinał na mnie Kapelusza nie potrzebowałem wkładać, bom go i tak nie miał, nawet nie pożegnawszy się z matką wybiegłem za nim, a gdym następnej niedzieli mógł na chwilkę po raz pierwszy do niej się wyrwać, dał mi połać szynki dla niej. Błogosławieństwo boże popiołom tego uczciwego człowieka! Jeszcze dziś słyszę jego na pół gniewne słowa: „Tonek! za pazuchy z tem, pod kurtkę! ażeby stara moja nie zobaczyła!“

**Leonard.** Czy i wy płakać umiecie?

**M. Antoni.** (*ociera oczy*) Tak — tak nie wolno mi o tem myśleć, bo to, choć niby źródłisko łez we mnie zagwożdzone, za każdym razem tworzy się szczelina. — No! i to dobre! Jak kiedy wodnej puchliny dostanę, nie trzeba będzie przynajmniej tych kilka kropel ze mnie wytaczać. (*Nagłym zwrotem.*) Jak on myśli? Gdyby on tak do człowieka, któremoby wszystko zawdzięczał, chciał wedle zwyczaju w popołudnie niedzielne pójść w odwiedzinę na fajeczkę, i gdyby go zastał wzburzonego i zropaczonego, z nożem w ręku, z tysamym nożem, którym mu tak często chleb krajał na odwieczerz, — ze skrwawioną szyją, podciągającego skwapliwie chustę aż po brodę—

**Leonard.** Tak stary Gebhard zeszedł do grobu.

**M. Antoni.** Z powodu blizny; — i gdyby on przyszedł właśnie w porę, mógł go zbawić i pomóc, i to nie tylko przez wyrwanie mu noża z ręki i zawiązanie rany, ale przez pożyczanie mu tego marnego tysiąca talarów, które zaoszczędził, i gdyby to nawet stać się musiało jedynie w skrytości, byle tylko tego chorego człowieka skłonić do przyjęcia — to cóżby on uczynił?

**Leonard.** Wolny, jak ptak, bez żony i dzieci, jak teraz, poświęciłbym pieniądze.

**M. Antoni.** A gdyby dziesięć miał żon jak Turcy, i tyle dzieci, ile ich było ojcu Abrahomowiprzyszczonych, i gdyby mógł choćby przez chwilę się namyślać, to byłby!... — — no teraz, to

on zostanie moim zięciem. Teraz już wie, gdzie podział pieniądze, — dziś mogłem mu to powiedzieć, bo mój stary majster — pogrzebany przed miesiącem byłbym to jeszcze na łożu śmiertelnem w sobie zachował. Oblig położyłem zmarłemu pod głowę, zanim trumnę przybili; gdybym umiał pisać, byłbym wprzód podpisał: „Ucziwie zapłacono“, — ale zem pisma nieświadom, więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko przedrzeć papier na wzdłuż. Teraz będzie spał spokojnie, a spodziewam się, że i ja, gdy się kiedyś obok niego ułożę...

## VI. SCENA.

**Matka.** (*wchodzi szybko*) Poznajesz mnie jeszcze?

**M. Antoni.** (*wskazując na suknię ślubną*) Ramę — tak, — ta się zachowała; — obraz — nie zupełnie dobrze. Zdaje się, że na nim wiele pajęczyn osiadło: no! czasu dość było na to!

**Matka.** Czy nie mam szczerego męża? — no, ale nie trza mi go szczególnie chwalić: szczeróść jest zaletą mężów.

**M. Antoni.** Czy żal ci, że cię 20 lat lepiej ozłociło, jak 50?

**Matka.** Pewnie, że nie, bobym inaczej musiała wstydić się za ciebie i za siebie.

**M. Antoni.** No! to mi dasz całusa. — Jestem ogolony, — i to lepiej, jak zwykle.

**Matka.** Nie odmawiam, ale tylko po to, aby

spróbować, czy się też na tej sztuce jeszcze nieco rozumiesz; od dawna ci to na myśl nie przyszło.

**M. Antoni.** Dobra matko! — Nie zażądam od ciebie, byś mi oczy przymknęła; ciężka to rzecz; sam się tego podejmuję dla ciebie; chcę ci ostatnią posługę miłosną wyświadczyć, ale na to czasu zostawić mi musisz, słyszysz? ażebym się mógł zahartować i przygotować, i nie okazał się partaczem. — Jeszczeby było za wcześnie!

**Matka.** Bogu dzięki, jeszcze niejaką chwilę żyć będziemy razem...

**M. Antoni.** Spodziewam się tego. bo też masz policzki godnie zarumienione.

**Matka.** Figlarz z tego naszego nowego grabarza. Wykopał grób; jakem dziś rano przechodziła przez cmentarz, — zapytałam go, dla kogo by zaś był. „Dla kogo Bóg zechce“ — odpowiedział — „może i dla mnie samego; może i mnie się przydarzyć, co memu dziadkowi, który także raz na zapas jeden grób wykopał i w nocy, kiedy wracał do domu z karczmy, wpadł weń i skreślił kark. —“

**Leonard.** *(który dotąd czytał tygodnik)* Ten hultaj nie stąd, — może nas osługiwać, jak mu się podoba.

**Matka.** Zapytałam go. dla czego nie czeka aż na obstalunek? „Jestem dziś na wesele proszony“ odpowiedział mi, — „i dość mam w sobie proroczego ducha, by przewidzieć, że jeszcze

jutro odczuwać to będę w głowie, tymczasem ktoś mi już na pewno na złość zrobił i—umarł. Musiałbym więc rano wczas wstawać, i nie mógłbym się wyspać.“

**M. Antoni.** Trefnisiu—zapytałbym—a gdyby grób był nie na miarę?

**Matka.** I ja mu to powiedziałam, ale on sy-  
pał ostremi odpowiedziami z rękawa, jak dyabeł  
pchłami. — „Wziąłem miarę na tkaczu Wicie“—  
powiedział— „ten sterczy, jak król Saul,—o całą  
głowę ponad nami wszystkimi; niech więc teraz,  
kto chce, przyjdzie, mieszkania swego nie znaj-  
dzie za małym, a jak za duże, no to nikomu  
innemu nie może to szkodzić, jak tylko mnie  
samemu, bo jako uczciwy człowiek nie każę so-  
bie zapłacić ani za piędź ziemi poza długością  
trumny.“ Wrzuciłam w grób moje kwiaty i rze-  
kłam: Teraz więc już zajęty.

**M. Antoni.** Myślę, że hultaj ino zartował;  
a i to już jest dość grzeszne — — Kopać gro-  
by wprzód, znaczy przemądrze—z góry—zasta-  
wiać sidła śmierci. Łajdaka, który tak robi, na-  
leżałaby ze służby wypędzić.

*(Do czytającego Leonarda).*

Co tam nowego? Czy przyjaciel ludzkości  
poszukuje ubogiej wdowy, któraby kilkuset ta-  
larów potrzebowała? Albo na odwrót biedna  
wdowa przyjaciela ludzkości, któryby je chciał  
ofiarować?

**Leonard.** Policja ogłasza kradzież klejnotów.



Dość dziwne. Widać z tego, że mimo ciężkie czasy są jeszcze wśród nas ludzie, którzy posiadają klejnoty.

**M. Antoni.** Kradzież klejnotów? U kogo?

**Leonard.** U kupca—Wolframa.

**M. Antoni.** U—!? Niemożliwe! — Tam Karol przed kilkoma dniami biurko polerował.

**Leonard.** Właśnie z biurka zniknęły.

**Matka.** (*do Majstra Antoniego*). Przebacz ci Bóg to słowo!

**M. Antoni.** Masz słuszość; była to niegodna myśl.

**Matka.** Dla swego syna jesteś—muszę ci to powiedzieć—jeno na wpół ojcem.

**M. Antoni.** Matko, nie mówmy dziś o tem!

**Matka.** Innym jest, niż ty: czy dlatego zaraz być musi złym?

**M. Antoni.** Gdzież więc jest teraz? — Już dawno zegar południe wybił; założę się, że tam jedzenie przegotowuje się i przepieka, bo Klara dostała tajemny nakaz, nie nakrywać do stołu, zanim on nie przyjdzie.

**Matka.** Gdzieżby mógł być? Najwyżej gra w kregle, i to musi szukać kregielni jak najdalej, byś go nie mógł odnaleźć. — Potem więc droga z powrotem, naturalnie długa. Nie wiem też, co ty



masz przeciw tej niewinnej zabawie..

**M. Antoni.** Przeciw zabawie? Nic, wcale nic! Przecie wielcy panowie muszą mieć rozrywkę do zabijania czasu. Bez króla kartowego pewnieby się król prawdziwy na śmierć nudził; a gdyby kręgli nie wynaleziono, kto wie, czyby wtedy książęta i baronowie naszymi głowami nie rzucali.—Ale rękodzielnik nie może ciężiej grzeszyć, jak, kiedy grosz ciężko, gorzko zapracowany stawia na grę ryzykowną. Człowiek musi to, co w krwawym pocie czoła zarabia, szanować i cenić wysoko, jeśli nie ma zwątpić sam w siebie, i jeśli nie chce dojść do tego, by na swój trud i żmud patrzył ze wzgardą.

Jakże mi się mają wszystkie moje żyły prężyć dla zdobycia talara, który chcę zaraz w następnej godzinie wyrzucić.

*(Słychać z zewnątrz szarpanie dzwonka).*

**Matka.** Pewnie on—

## VII SCENA.

Wchodzą woźny sądowy **Adam** z drugim woźnym.

**Adam** *(do M. Antoniego)*. No—pójdźcie tylko i zapłaćcie zakład! — Ludzie w czerwonym kubraku z niebieskimi wyłogami *(silnie akcentuje)* nie mieli nigdy wejść do waszego domu. Oto jesteśmy—nas dwóch.

*(Do drugiego woźnego).*

Czemu nie nakładacie kapelusza na głowę,

jak ja? Kto robi ceregiele, jak jest u ludzi równych sobie?

**M. Antoni.** U równych sobie? Łotrze!

**Adam.** Macie rację, — nie jesteśmy u równych sobie. Łajdaki i złodzieje nie są nam równi. (*Wskazuje na komodę*). Otworzyć! — A potem 3 kroki w bok! — Żebyście mi tu nic nie zwędzili! —

**M. Antoni.** Co? co?

**Klara.** (*wchodzi z bielizną stołową*). Czy mam —? (*niemieje*)

**Adam.** (*pokazuje dokument*). Umiecie pisane pismo czytać?

**M. Antoni.** Mam umieć to, czego i mój nauczyciel nie umiał?

**Adam.** No to posłuchajcie! Syn wasz skradł klejnoty! — Złodzieja mamy już w klatce. Teraz więc chcemy rewizję przeprowadzić.

**Matka.** Chryste!! (*pada i — umiera*).

**Klara.** Mamo! mamó! jakie ma straszne oczy!

**Leonard.** Pobiegnę po doktora.

**M. Antoni.** Nie trzeba! — To jest twarz umarłej! — Widziałem to ze sto razy. — Dobrej nocy, Tereso! Zmarłaś, skoroś posłyszała. To ci się na mogile wyryje.

**Leonard.** To wszystko może jest — (*wymyka*—

jąc się) straszne, — ale dla mnie dogodnie. (*Odchodzi*).

**M. Antoni.** (*dobywa pęk kluczków i rzuca przed siebie*). Na! — Otwierajcie! — Skrzynię po skrzyni! Siekiery mi tu! — Klucz się zgubił od kufra! A! łajdaki i złodzieje?! (*wywraca kieszenie*) Tu nic nie znajduję.—

**Drugi woźny.** Majstrze Antoni,—pohamujcie się! Każdy wie, żeście najuczciwszy człowiek w mieście.

**M. Antoni.** Tak? tak? (*śmieje się*) tak — ja sam zużyłem w rodzinie — uczciwość! Biedny chłopiec! Dla niego nic już nie pozostało! Ta— tutaj (*wskazuje na zmarłą*) także była za czysta. Kto wie, czy córka nie — (*nagle do Klary*) Cóż myślisz, moje niewinne dziecko?

**Klara.** Ojczel!

**Drugi woźny.** (*do Adama*). Czy wy nie czujecie litości?

**Adam.** Litości?—Czy staremu drabowi buszuję po kieszeniach? Czy zmuszam go do zdzierania skarpetek i butów?—Chciałem zacząć od tego, bo go nienawidzę, jak tylko mogę nienawidzieć od czasu, jak w restauracyi szklanę.—Znacie tę historję—i musielibyście się byli także obrazić jeśli macie honor w sercu—(*do Klary*) Gdzie komora brata?

**Klara.** (*wskazuje ją*)—Z tyłu—  
Obaj **woźni** (*odchodzą*).

**Klara.** Ojczy, on jest niewinnym! On musi być niewinnym! On jest przecie twoim synem,— on jest przecie moim bratem.

**M. Antoni.** Niewinny? i zabójca matki? (*śmieje się*).

**Dziewka.** (*wchodzi z listem dla Klary*). Od pana Kasyera. (*odchodzi*).

**M. Antoni.** Nie masz go po co czytać! Uwalnia cię (*uderza w ręce*). Brawo! Łajdaku!

**Klara.** (*przeczytawszy*) Tak! tak! o Boże!

**M. Antoni.** Opuść go!

**Klara.** Ojczy! ojczy! ja nie mogę!

**M. Antoni.** Nie możesz?—ty nie możesz? Co to jest?—Czy ty—?

Obaj **woźni** (*wracają*)

**Adam.** (*złośliwie*) Szukajcie a znajdziecie!

**Drugi woźny.** (*do Adama*) Co wam wpada do głowy? Czy to się dziś godzi?

**Adam.** Stulcie pysk! (*obaj wychodzą*).

**M. Antoni.** On jest niewinny,—a ty? a ty?

**Klara.** Ojczy! tyś straszny!

**M. Antoni.** (*chwytą ją za rękę, bardzo łagodnie*) Kochana córko moja! Karol jest przecie tylko partaczem,—on tylko matkę pozbawił życia, co to znaczy?—Pozostał ojciec przy życiu.—

Pomóż mu,—nie możesz przecie od niego żądać, by sam wszystko spełnił.—Reszty ty mi dodaj! Stary pień — wygląda jeszcze tak sękaty,—nie-prawdaż? Ale on się już chwieje, nie wiele trudu potrzeba, byś go obaliła. Nie trza ci wcale chwytać za siekierę,—masz piękną twarzyczkę;—nigdy cię jeszcze nie chwaliłem, dziś ci to powiem, byś nabrała odwagi i pewności siebie—oko,—nosek,—usta znajdują na pewno wielbicieli, zostań—!—Ty mnie rozumiesz,—albo powiedz mi, bo mi się tak wydaje, żeś nią już jest!

**Klara** (*prawie szalona pada z podniesionemi rękami do stóp zmarłej i woła, jak dziecię:*) Mamo! mammo!

**M. Antoni.** Weź rękę zmarłej i przysiąż mi że jesteś, czem być winnaś!

**Klara.** Przy-się-gam—ci—że—nigdy—ci—hań-by—nie—przy-nio-sę...

**M Antoni.** Dobrze! (*nakłada kapelusz*). Na dworze piękna pogoda., Pójdziemy — przebiedz się trochę popod różgami—to w dół—to w górę ulicy—(*wychodzi*).

## KURTYNA.

---



## A K T II.

*Izba w domu majstra stolarskiego.*

### I SCENA.

**M. Antoni.** *(wstaje od stołu).*

**Klara.** *(chce sprzątnąć).*

**M. Antoni.** Znowu nic jeść nie chcesz?

**Klara.** Ojczy, ja syta...

**M. Antoni.** —Z niczego?

**Klara.** Już jadłam—w kuchni...

**M. Antoni.** Kto niema dobrego apetytu, niema dobrego sumienia!—No, ale z czasem z czasem wszystko się znajdzie. Alboż była trucizna w rosole, jak mi się wczoraj śniło? Może trochę cykuty przy rwaniu przez nieostrożność dostało się w wiązkę zielonego... No, toś mądrze zrobiła!

**Klara.** Wszechmocny Boże!



**M. Antoni.** Przebacz mi, ja — Idź do dyabła z tą twoją bladą twarzyczką męczennicy,— którą skradła Matce Zbawiciela!—Rumianym winno się być, gdy się jest młodym. Tylko jednemu wolno paradować z taką twarzą, a ten tego nie czyni! W pysk każdego, kto się jeszcze skrzywi i jęknie,—gdy się w palce zatnie!—Do tego nikt nie ma prawa, bo oto tu stoi człowiek, który — Własna chwalba śmierdzi,—ale com uczynił — kiedy sąsiad chciał zabić wieko nad trumną twej matki?

**Klara.** Wyrwałeś mu ojczyznę młot, sam-ęś to zrobił i powiedział: — „to mój majstersztyk“!— Kantor, co właśnie przede drzwiami z chłopcami od chóru śpiewał pieśń zmarłych,—myślał żeś oszalał..

**M. Antoni.** Oszalał!? (*śmieje się*) Zwaryował Tak, tak!—mądra to głowa,—co się sama ścina, jak nadejdzie pora.—Moja za silnie musi siedzieć na karku, boby inaczej — Siedział człowiek w świetle—i myślał, że w bezpiecznej gospodzie za piecem się wygrzewa,—nagle światło wniesiono i oto widzi, że jest w jaskini rozbójników — a teraz paf!—puf!—ze wszystkich stron;—ale to nie szkodzi! — człowiek ma na szczęście kamienne serce!

**Klara.** Tak jest ojczyźnie, tak...

**M. Antoni.** Cóż ty wiesz o tem? — myślisz, że masz prawo razem ze mną kłąć,— bo ci się wymknął twój pisarczyk? Poprowadzi cię kto

inny na spacer w niedzielę popołudniu, ktoś inny ci powie, że masz policzki czerwone,—a oko niebieskie, ktoś inny cię pojmie za żonę, jak na to zasłużysz. — Lecz gdy przez lat 30 w doli i niedoli ciężar życia będziesz uczciwie i przystojnie dźwigała, gdy nie szemrać nie będziesz, jeno cierpienia, śmierć i każde nieszczęście przyjmiesz z pokorą — a potem przyjdzie twój syn, który ci na starość miał podłożyć miękką poduszkę pod głowę—i zwali na ciebie tyle hańby, iżbyś ochotę miała wołać do ziemi: pochłoń mię, jeśli wstępu nie masz, bom brudniejsza od ciebie! — wtedy wolno ci będzie te wszystkie przekleństwa, które ja w swej piersi tłumię—wyrzucić, wolno ci będzie włosy rwać i w pierś się bić,—ten przywilej możesz mieć nademnie,—bo nie jesteś mężczyzną.

**Klara.** O Karolu!

**M. Antoni.** Zdziwi mię to niezawodnie, co zrobię, gdy go znowu zobaczę przed sobą,—gdy wieczorem przed zaświeceniem lampy z ostrzyżoną głową,—bo w kaźni nie pozwalają na fryzury, — wejdzie do izby, — wybąknie „dobry wieczór“, i klamkę u drzwi w rękach zatrzyma. — Coś uczynię — ale co? — (*Z zgrzytem zębów*) Chociażby go nawet 10 lat zatrzymali, on mię zastanie—tak długo będę żył! zapamiętaj to sobie, śmierci!—Od tej chwili jestem kamieniem na twą kosę,—i raczej ona się rozprysnie, niż mnie ruszy z miejsca.

**Klara.** (*chwyta go za rękę*)—Powinieneś się ojcie położyć na pół godziny!

**M. Antoni.** Po co? — Czy na to, by śnić, — żeś zaszła w ciążę? — by zerwać się i chwycić ciebie — a potem namyślić się i rzec: kochana córko! nie wiedziałem, co czynię. — Sen mój wydalil ze służby kuglarza, a przyjął proroka, który mi krwawym palcem straszne pokazuje rzeczy, — i — nie wiem, skąd to pochodzi, — wszystko mi się teraz możliwem wydaje. Hu-u! --- groza mię chwyta przed przyszłością, jak przed szklanką wody, którą się przejrzało przez mi-kros-kop. — Czy dobrze tak kantorze? — Często mi to słowo przypowiadał sylabizując. — Raz w Norymberdze na kiermaszu to zrobiłem i cały dzień nie mogłem nic pić. — Kochanego Karola widziałem poprzedniej nocy, z pistoletem w ręku, — a gdy strzelcowi bliżej w ślepie popatrzyłem, — wypalił; — usłyszałem krzyk, — ale przez dym z prochu nie mogłem nic dostrzec, a gdy się i dym rozszedł, zobaczyłem nie roztrzaskaną czaszkę, tylko mój pan synalek przedzierzgnął tymczasem się w bogacza: Stał i liczył monetę złotą, przesuwając ją z jednej ręki w drugą, — a miał minę — niech mię dyabli porwą! — nie ma się spokojniejszej, gdy się po całodziennej srogiej pracy warstat zamyka za sobą... No! — należałoby tu być ostrożnym — — Moznaby sądy odprawiać, a potem samemu stawać przed najwyższym Sędzią! —

**Klara.** — Ojczy! — bądźże znów spokojnym!

**M. Antoni.** — Bądźże znów spokojnym! — Czemum jest chory?! Tak, tak lekarzu! — podaj mi wprzód napój zdrowia! Brat twój jest najgor-

szym synem,—bądźże ty najlepszą córką! — Jak niecny bankrut stoję przed obliczem świata;— byłem mu dłużen człowieka samego, któryby mógł zająć miejsce tego inwalidy,—oszukałem go — łajdakiem! Bądź ty kobietą, — jaką matka twoja była, — wtedy powiedzą: „nie wina rodziców, że ten hultaj zeszedł na manowce, — bo córka chodzi drogami zbożnemi i jest przykładem dla wszystkich innych. (*strasznie zimno*) A ja zrobię swoje: — chcę ci rzecz całą uczynić łatwiejszą, niż drugim. W chwili, gdy zobaczę, że i ciebie palcami wytykają, — ja -- (*z ruchem ręki po szyi*) ogolę się, a potem—przysięgam ci to—zgolę całego draba!— możesz powiedzieć, że to stało się z strachu,—bo na ulicy właśnie koń się spłoszył. albo bo kot wywrócił krzesło na podłogę,—albo—bo mi mysz przeleciała po nogach— Kto mię zna, ten niewątpliwie będzie na to potrząsał głową,—bom nieszczególnie lękliwy; — ale co to znaczy?— Nie mogę wytrzymać w świecie, gdzie ludzie musieliby litość czuć dla mnie, gdyby nie chcieli pluć mi w twarz.

**Klara.** Miłościwy Boże!—co ja mam robić?

**M. Antoni.** Nic, nic,—drogie dziecię—jestem za srogi dla ciebie — czuję to — nic, — zostań tylko tem, czem jesteś—a będzie dobrze!—O bom ja tak ciężkiej krzywdy doznał, że muszę krzywdę wyrządzać, by nie uledz, gdy — mię tak porządnie zeprze — Uważaj:—idę ulicą, — wtem zjawia się ten dziobaty Fryc, złodziej powiatowy, com go to przed laty kazał wsadzić do dziury,

bo mi trzy razy za długie palcy pokazywał. Przedtem łotr nie śmiał w twarz mi patrzeć, dziś zuchwale przystąpił do mnie i podał mi rękę. Chciałem w pysk go trzasnąć, — alem się zastanowił, i nawet nie splunąłem:—przecież my od 8 dni kuzynowie, — no a godzi się, by się krewni witali.—Ksiądz, litościwy człowiek, który mnie wczoraj odwiedził, powiedział wprawdzie, że człowiek nie może brać odpowiedzialności za nikogo, jak tylko za siebie samego, — i że to niechrześcijańska z mej strony pycha, że i syna także chcę wziąć na swoje sumienie, bo w takim razie przecieżby i Adam musiał to sobie wziąć zarówno do serca, jak ja.—Panie, wierzę chętnie, że to spokoju praojca w raju wcale nie zakłóca, gdy który z jego pra-prawnuków mordować pocznie lub kraść, ale czy on sobie nie wyrywał włosów przez Kaina?

Nie! nie! tego już za dużo! Czasami mam ochotę za cieniem swoim się oglądnać, czy przypadkiem nie stał się czarniejszym! Bo wszystko, wszystko mogę znieść,—i okazałem to dowodnie —jeno nie hańbę!—Złóście mi na kark, co chcecie, jeno mi nerwu nie przecinajcie, co mnie trzyma w kupie!

**Klara.** Ojczy, przecie jeszcze Karol się nie przyznał i oni nic u niego nie znaleźli.

**M. Antoni.** Co mi po tem? Dziś chodziłem po mieście,—i dowiadywałem się po szynkach o jego długi,—zebrało się więcej, niżby przez kwartał u mnie mógł zarobić, choćby był 3 razy pil-



niejszym, jak teraz. — Teraz już wiem, dlaczego on 2 godziny dłużej robił, niż ja, i dlaczego mimo to wcześniej wstawał odemnie; — ale zrozumiał wreszcie, że to wszystko przecie na nic, albo wydało mu się to zbyt trudnem i za długo trwało, więc zakasał rękawy i — do roboty skoro się tylko nawinęła sposobność.

**Klara.** Zawsze myślisz o Karolu jak najgorzej, — zawsześ tak robił. — Przecież wiesz dobrze ojcze, jak...

**M. Antoni.** Mówisz tak, jakby matka twoja mówiła, a ja ci tak odpowiem: jak-em i jej zwykł był odpowiadać — milczeniem.

**Klara.** A jeśli Karola przecież uwolnią? Jeżeli klejnoty się znajdą?

**M. Antoni.** Natenczasbym adwokata zapłacił, i ostatnią koszulę zastawił, by się dowiedzieć, czy burmistrz ma prawo syna uczciwego człowieka wtrącać do aresztu, czy nie. — Jeżeli tak, tobym się ugiął, bo co się każdemu przydarzyć może; na to i ja musiałbym się zgodzić, i choćbym tysiąc razy drożej to nieszczęście miał opłacić, jak inni, byłoby to tylko przeznaczeniem, a kiedy Bóg mnie karze, wtedy ja składam koronie ręce i mówię: Ty wiesz Panie, zaco. Gdyby tak jednak nie było, gdyby ten pan z złotym łańcuchem na szyi zanadto się był pokwapił, bo o niczem nie myślał, jeno o tem, że kupiec, któremu zniknęły klejnoty, jest jego szwagrem, no! to wtedy okazałoby się, czy kodeks ma pewną



lukę, i czy król, który wie dobrze, że poddanym swoim za wierność i posłuszeństwo musi sprawiedliwością płacić, który z pewnością najlichszemu z nich nie chciałby zostać nic dłużnym, pozostawi tę lukę niezatkaną?—Ale to są czcze gadaniny! Ten chłopiec wyjdzie tak czystym z jego procesu, jak matka twoja z grobu. *ba.* Z niego ni teraz ni w przyszłości nigdy nie będę miał pociechy; przeto nie zapominaj, coś ty mi winna. Dotrzymaj twej przysięgi, abym ja nie potrzebował mojej dotrzymać. — (*Idzie, ale się odwraca*). Wrócę dziś późno w noc do domu. Idę do starego drwala—w góry. To jest jedyny człowiek, który mi tak, jak dawniej, patrzy w twarz, bo nic nie wie o mojej hańbie.—Głuchym jest, nikt mu o niczem powiedzieć nie może bez nabawienia się chryпки,—i tak jeszcze wszystko słyszy na opak,—dlatego nic nie wie. (*Wychodzi*).

## II SCENA.

**Klara.** (*sama*) O Boże! Boże! Zmiłuj się, zmiłuj nad tym starym człowiekiem! Weź mnie do siebie! Jemu inaczej pomódz nie można. Oto złote blaski słońca legły na drodze, że dzieci rękami za nimi się uganiają,—ptaszki lecą to tu, to tam; kwiaty i zioła pną się nieustannie ku górze. Wszystko żyje, wszystko żyć pragnie! Tyśiąć chorych drży w tej godzinie przed tobą, śmierci! Kto cię jeszcze w nocy w udręczeniu serca wzywał, nie mogąc dłużej znosić bólów ten łożę swoje znajduje teraz znowu miękkim i ciepłym.—Ja wzywam cię!—Oszczędź tego, czy-

ja dusza najboleśniej wije się w mękach strachu przed tobą, — pozostaw mu tyle czasu, aż świat piękny znowu stanie się szarym i pustym! Weź mnie za niego! Nie będę drżała, kiedy mi swą zimną dłoń podasz, — chwycę ją odważnie i pójdę za tobą radośniej, niż kiedykolwiek szło za tobą dziecię ziemi.

### III SCENA.

Kupiec **Wolfram**. (*wchodzi*) Dzień dobry, pauno Klaro! Zastałem ojca w domu?

**Klara** Dopiero co wyszedł.

**Wolfram**. Przychodzę — moje klejnoty się znalazły.

**Klara**. O ojcze! gdybyś tu był! — Zapomniał okulary, — tam leżą... O gdyby zauważył to i wrócił! — Jakże to? — Gdzie? — U kogo?

**Wolfram**. Moja żona. — Powiedz mi pani otwarcie, czy pani nie tak — osobliwego o mojej żonie nie słyszała?

**Mara**. — Tak.

**Wolfram**. Że ona — (*pokazuje na czoło*) nieprawdaż?

**Klara**. Tak, — że nie jest zupełnie przy — zmysłach.

**Wolfram**. (*wybuchając*) O mój Boże! mój Boże! Wszystko napróżno! — Żadnej służącej, którą kiedykolwiek przyjąłem w dom swój, nie wy-

puściłem ze służby, — każdej podwójną dawałem zapłatę, aby ich milczenie okupić, a przecież — O te niewierne, niewdzięczne kreatury! O moje biedne dzieci, dla was tylko starałem się to ukryć.

**Klara.** Proszę nie łajać swej czeladzi. — Oni są z pewnością niewinni. Od czasu, jak dom sąsiada spłonął, a pańska żona w otwartym oknie stojąc śmiała się i klaskała w ręce, — co więcej z pełnych ust dmuchała na pożar, jakby ogień jeszcze bardziej chciała rozdmuchać, — od tego czasu pozostawało tylko do wyboru albo dyabła w niej widzieć albo uważać ją za — szaloną — I na to setki ludzi patrzyły.

**Wolfram.** To prawda! Skoro więc całe miasto zna moje nieszczęście, — byłoby niedorzecz-  
nem, gdybym od pani żądał przyrzeczenia, żeby to pozostało między uami. Posłuchaj pani! Kradzież, z powodu której brat pański siedzi w więzieniu, — popełniło szaleństwo!

**Klara.** Własna pańska żona?

**Wolfram.** Że ona, która dawniej była najzaniejszą, najtkliwszą duszą na świecie, stała się złośliwą i bez serca, że cieszy się i raduje, gdy przed jej oczyma dzieje się nieszczęście, gdy służąca szklankę stłucze, albo się w palec zatnie, o tem już dawno wiedziałem; że jednak w domu także rzeczy gdzieś w jakiś schowek zanoszą, skrywa pieniądze, rozdziera papiery, o tem niestety! zapóźno się dowiedziałem, dopiero dziś

w południe. Położyłem się do łóżka i miałem już zasnąć, gdy spostrzegłem, że ona lekko — zwolna się do mnie zbliża i patrzy ostro we mnie, czy już śpię — Przymknąłem szczelniej oczy, — wtedy ona z kamizelki mojej, złożonej na krześle, wyjęła kluczyk, otworzyła biórkę, chwyciła rulon złota, zamknęła znowu i klucz napowrót włożyła. — Przeraziłem się, ałem się pohamował, by jej nie przeszkodzić; opuściła pokój, a ja na palcach pomknąłem za nią. Ona weszła na strych, — i rulon wrzuciła do starej skrzyni, która jeszcze od czasów dziadka stała tam próżna, potem się trwożliwie oglądnęła na wszystkie strony i nie spostrzegłszy mnie, umknęła. Zapaliłem stoczek woskowy i przeszukałem skrzynię: znalazłem tam lalkę mojej najmłodszej córki, parę pantofli służącej, księgę rachunkową, i — niestety! albo raczej Bogu dzięki! — jakże mam powiedzieć? — na samym spodzie też klejnoty. —

**Klara.** O moja biedna matka! To przecie jest zbyt straszne!

**Wolfram.** Bóg widzi, że gdybym mógł sprawić, by się odstało to, co się stało, oddałbym te klejnoty! Ale nie ja temum winien; — podejrzenie moje przy całym szacunku, jaki mam dla pańskiego ojca, padło na pańskiego brata; to było zupełnie naturalnem: on polerował biórkę i wraz z nim zniknęły klejnoty; — spostrzegłem to prawie natychmiast, bom musiał właśnie z tej szuflady, w której leżały, wyjąć pewne papiery.



Alem nie myślał zaraz ostrych chwycić się środków wobec niego, doniosłem tylko o całej sprawie woźnemu sądowemu Adamowi, i prosiłem go, ażeby w zupełnej tajemnicy zarządził śledztwo, lecz on o żadnej oględności wiedzieć nie chciał, tłómaczył mi, że musi, i że też rzeczywiście natychmiast o wypadku doniesie, bo brat pański — to są jego słowa, — jest pijakiem i długi robi, i że on tj. Adam taki ma wpływ u burmistrza, że przeprze, wszystko, co zechce. Człowiek ten żywi — zdaje się — ogromnie głęboką nienawiść ku pańskiemu ojcu, — nie wiem dlaczego; nie można go było ułagodzić, zamknął uszy, a gdy pośpiesznie odchodził odemnie, wołał jeszcze: „gdybyście mi te wszystkie wasze cenności darowali, nie byłbym taki zadowolony, jak teraz.“

**Klara.** Woźny postawił raz w gospodzie szklanę na stół obok szklaki mego ojca i przyciemnił nań głową, jakby go wzywał do trącenia się. Wtedy mój ojciec swoją szklanę odsunął i rzekł: „Ludzie w czerwonym kubraku z niebieskimi wyłogami musieli dawniej pić z szklanek o drewnianych podstawkach, musieli też na dworze pod oknem, albo jak deszcz padał, pode drzwiami stawać i kornie kapelusze zdejmować, gdy im gospodarz podawał trunek! — a jak mieli ochotę z kimś się trącić, to czekać musieli póki nie przeszedł ich kum — kat!“ — Boże! — Boże! Jakże to wszystko możliwe na tym świecie! I to matka moja nagłą śmiercią przepłacić musiała.

**Wolfram.** Nikogo nie trzeba drażnić, a już najmniej ludzi złych. Gdzie jest pański ojciec?

**Klara.** W górach — u drwala.

**Wolfram.** Popędzę za nim na koniu i odszukam go. U burmistrza już byłem, ale niestety! nie zastałem go w domu, boby inaczej brat pański już tu był. — Sekretarz jednak natychmiast wyprawił gońca, — jeszcze wieczorem ujrzy go pani. (*wychodzi.*)

#### SCENA IV.

**Klara.** (*sama*) Teraz powinnabym się cieszyć! Boże! Boże! A nie mogę przecież o niczem innem myśleć, jak tylko o tem: teraz zostałaś ty sama! — A jednak mam uczucie, jakoby mi zaraz musiało coś przyjść do głowy, co znowu wszystko naprawi.

#### SCENA V.

**Sekretarz** (*wchodzi.*) Dzień dobry!

**Klara** (*chwytą się krzesła, jakby upaść miała*)  
On! — O gdyby ten nie był powrócił!

**Sekretarz.** Ojca niema w domu?

**Klara.** Nie.

**Sekretarz.** Radosną przynoszę wiadomość. Brat pański — Nie, Klaro! ja nie mogę w tym tonie mówić z tobą; mnie się zdaje, że te stoły, krzesła, szafy — O! dzień dobry ci! (*głową potrząsa ku szafie*) Jak się masz? — nie zmieniłaś się wcale — ci dobrzy moi znajomi, dokoła których jako dzieci tak często skakaliśmy, — że



one głowę ku sobie skupią, aby drwić z głupca jeżeli ja tonu tego nie zmienię. Muszę „ty“ mówić do ciebie; jeśli ci się to nie podoba, pomyśl sobie: oto ten duży chłopiec marzy we śnie; ja go obudzę: stanę przed nim i (*z odpowiednim ruchem*) podniosę się wysoko, aby poznał, że nie małe dziecko ma przed sobą, — o! to była twoja miara w 11-tym roku — (*wskazuje na rysę na drzwiach*) — ale dorosłą pannę, która już potrafi sięgnąć po cukier, jeżeli go nawet na szafie złoży. — Pamiętasz przecie jeszcze? — to było miejsce, silna twierdza, gdzie nawet niezamknięty był przed nami zabezpieczony. A kiedy tam leżał, to myśmy czas zabijali odpędzaniem much, które wesoło tam i napowrót latały, bośmy im w żaden sposób na te specyały pozwolić nie mogli, których sami dosięgnąć nie umieliśmy.

**Klara.** Myślałam, że o takich rzeczach się zapomina, gdy się musi tyle setek książek przestudyować.

**Sekretarz.** Często się zapomina! Pewnie! czego człek nie zapomina ślęcząc nad Justynianem i Gajusem!

Chłopcy, którzy się tak uparcie bronią przeciw abecadłu, wiedzą dobrze, dlaczego to robią; mają przeczucie tego, że gdyby z elementarzem nie wdali się w komitywę, to i w biblię by nie zabrnęli. Tymczasem jednak oszukuje się haniebnie te niewinne dusze: pokazuje im się czerwonego koguta z koszykien pełnym jaj, wtedy sami krzyczą: A!, no! i odtąd już niema

tamy, pędzą po pochyłej równi aż — do Z, i tak dalej i dalej, aż nagle znajdują się wpośród Corpus juris i spostrzegą ze zgrozą, w jaką gąszcz ich zwabiło tych przeklętych 24 liter, które się z początku w wesołych podskokach składały w słowa pełne smaku i woni, jak cze-reś-nie albo ró-ża.

**Klara.** A cóż się wtedy czyni? (*Nieobecna duchem, bez żadnej ciekawości.*)

**Sekretarz.** Tu już temperamenty się różnią.— Jedni się przebijają. Ci zwykle po trzech lub czterech latach wychodzą znowu na światło dzienne, — nieco tylko chudzi i bladzi — tego im za złe brać nie trzeba.

Do nich ja należę. — Inni układają się wśród lasu, chcą tylko wypocząć, ale rzadko kiedy powstają z tego spoczynku, Sam miałem jednego znajomego, który już trzy lata w cieniu Lex Julia spija piwo, — miejsce to wybrał sobie dla imienia, — bo mu ona miłe wspomienia na myśl przywodzi. — Inni popadają w rozpacz i — wracają z drogi. — To są najgłupszy, bo dlatego tylko wypuszcza się ich z jednej gęstwiny, by się natychmiast w drugą zaszyli. — A są tam gęstwiny, które są jeszcze straszniejsze, które się ciągną bez końca (*do siebie*) Ile bredni człowiek plecie, — jeśli ma coś na sercu a nie może tego wydobyć!

**Klara.** Dziś wszystko takie radosne i wesołe. — To są błogosławione skutki pogodnego dnia.

**Sekretarz.** W taką pogodę, puszczyki z gniazd wypadają, nietoperze zabijają się, bo czują, że je szatan stworzył, — kret tak głęboko ryje się w ziemię, że nie może powrotnej drogi odnaleźć i nędznie się dusi, — jeżeli się nie przerznie aż na drugą stronę ziemi i aż w Ameryce się nie zjawi. — Dziś każdy kłos zbożowy z podwójną mocą strzela w górę, a każdy kwiat makowy podwójnie silnie oblewa się czerwienią — może ze wstydu, że takim dawno już się nie stał. — Ma - że człowiek sam jeden w tyle pozostawać? — Ma - że Boga oszukiwać, nie płacąc mu tego jednego podatku, jaki mu się od świata należy, nie okazując wesołej twarzy i jasnego oka, które odzwierciedla te wszystkie cudności, i odbija je w jeszcze piękniejszych kolorach. Zaprawdę, gdy widzę rano jakiegoś piecucha, co się z drzwi wysuwa leniwie, z pomarszczonem czołem, jak patrzy na niebo, niby na arkusz bibuły, myślę sobie: to pewnie zaraz deszcz spadnie Bóg musi koniecznie zasłone chmurną zaciągnąć, aby nie uczuć gniewu, patrząc na takie potwory. — Należałoby tych hultajów przed sąd zapozwać, jako niszczyтели wesołości i spędzaczy pogody potrzebnej zniwom. Czemże człowieku podziękujesz za życie, jak nie życiem samem? Raduj się ptaszku, bo inaczej na śpiewne gardło nie zapracujesz!

**Klara.** Ach to jest tak prawdziwe! tak prawdziwe! że mi się na płacz zbiera....

**Sekretarz.** Nie przeciw tobie to mówiłem; że

juz od 8 dni ciężej oddychasz, jak zwykle, rozumiem; znam twego starego. — Ale Bogu dzięki — mogę pierś twoją uwolnić od tego ciężaru — i dlatego właśnie tu jestem. Dziś wieczór jeszcze brata swego ujrzysz, i nie jego, ale ludzi, którzy go do więzienia wtręcili, będą palcami wytykali. — Czy zasługuję za to na pocałunek siostrzany — jeśli inny być nie może? — Alboż zabawimy się o to w ślepą babkę. Jeśli cię w 10 minutach nie złapie, wyjdę z próżnemi rękoma i dostanę nadto za uszy!

**Klara** (*milczy*) (*do siebie*) Zdaje mi się jakoby nagle o tysiąc lat się postarzała, i jakoby czas nademną stanął — cichy; — nie mogę ani wstecz się cofnąć ani naprzód pójść — O! ten nieruchomy blask słoneczny i ta cała wesołość wokoło mnie!

**Sekretarz.** Nie odpowiadasz mi? — Naturalnie. — Zapomniałem, żeś narzeczoną! — O dziewczyno, czemuś ty to uczyniła?! A przecie — czy mam prawo się uskarżać? Jesteś jak miłość i dobro! — wszystko dobre i kochane winno mi było ciebie przypominać; — a jednak byłaś dla mnie przez lata całe, — jakby nieistniejąca na świecie. — Za to mnie — Gdyby to przynajmniej był człowiek, przed którymby trzeba oczy w dół spuszczać! — ale ten Leonard..

**Klara.** (*nagle postyszawszy to imię*) — Muszę pójść do niego — To przecie jest właśnie przyczyną... — ja już nie jestem siostrą złodzieja — o Boże! czego pragnę więcej? — Leonard musi

— i robi to, jeśli tylko szatanem nie jest, a będzie wszystko jak dawniej (*wstrząsnąwszy się*) Jak dawniej! (*do sekr.*) Nie bierz mi tego za złe, Fryderyku! — O czemuż mi ciągle nogi tak ciężą, jak ołowiane...

**Sekretarz.** Ty chcesz...

**Klara.** — Tak, pójść do Leonarda, dokądże indziej? Tę jedną tylko mam jeszcze drogę na świecie.

**Sekretarz.** Więc ty go kochasz? — W takim razie!

**Klara.** (*dziko*) Kocham? — On, albo śmierć. Czy to kogo dziwi, że jego wybieram?... Nie czyniłabym tego, gdybym jeno o sobie myślała..

**Sekretarz.** On, albo śmierć? Dziewczyno tak przemawia rozpacz, albo —

**Klara.** Nie doprowadzaj mnie do szaleństwa! — Nie wymawiaj tego słowa! — Ciebie, ciebie kocham... Oto wołam do ciebie, jakobym już poza grobem stała, gdzie się nikt nie czerwieni, gdzie wszystkie owe mary nagie i drżące obok siebie się przemykają, — bo straszna, święta bliskość Boga wyżarła w każdej z nich aż po rdzeń myśl o drugich. —

**Sekretarz** Mnie? Jeszcze zawsze mnie? — O Klaro, ja to przeczuwałem, kiedym cię zobaczył w ogrodzie...

**Klara.** Przeczułeś? O i tamten także (*głucho jakby sama była*). I stanął przedemną: „on albo



ja!“ — O serce moje, przekłete moje serce!  
Aby jemu, by sobie samej dowieść, że tak nie  
jest albo, żeby to stłumić, gdyby tak było, uczyni-  
łam to, co mnie teraz — (*wybuchając płaczem*)  
Boże w niebie! — jabym się zlitowała gdybym  
była tobą, a ty mną..

**Sekretarz.** Klaro, bądź moją żoną! — Przy-  
szedłem do ciebie, by raz jeszcze dawnym spo-  
sobem popatrzeć ci w oczy. Gdybyś wzroku te-  
go nie była zrozumiała, byłbym odszedł, nie po-  
wiedziawszy ni słówka. — Teraz, ofiaruję ci  
wszystko i siebie i mienie moje. — Mało tego,  
mało, ale może być więcej: Dawnobym był tu,  
ale matka twoja była chora, a potem umarła.—

**Klara.** (*śmieje się szaleńczo.*)

**Sekretarz.** Nabierz serca dziewczyno! —  
Tamten ma słowo twoje... To cię niepokoi. —  
Pewnie, że to dyabelnie źle, — jakże mogłaś?...

**Klara.** O! pytaj się, pytaj — co się składa  
na to, by biedną dziewczynę przyprawić o wa-  
ryactwo! — Kpiny i drwiny ze wszystkich stron,  
gdyś poszedł na uniwersytet i żadnego znaku o  
sobie nie dawałeś. — „Ta jeszcze wciąż o nim  
myśli!“ — „Ona sądzi że to dzieciństwo było na  
seryo brane.“ „Czy otrzymuje listy?“ A potem  
matka: „Trzymaj się równych sobie!“ „Pycha  
nie popłaca!“ — „Przecie Leonard jest porządnym  
człowiekiem, — wszyscy się dziwią, że ty pa-  
trzysz na niego z góry“. A do tego moje wła-  
sne serce! — Gdy on o tobie zapomniał, pokaż  
mu, że i ty — O Boże!



**Sekretarz.** Moja wina! czuję to! — No, ale co jest trudne, nie jest przecie temsamem niemożliwe! Wystaram się o zwrot twego słowa. — Może —

**Klara.** O moje słowo? (*rzuca mu list Leonarda.*) masz je! —

**Sekretarz.** (*czyta*) Ja, jako kasyer — twój brat — złodziej — bardzo mi żal — ale nie mogę — ze względu na mój urząd — (*do Klary*) To ci napisał w tym samym dniu, w którym twoja matka umarła? — Wyraża ci przecie zarazem swoje współczucie, z powodu jej nagłej śmierci!

**Klara.** Tak myślę..

**Sekretarz.** Bodaj cię! — Boże! — koty, zmije i inne poczwary, które ci się przy stworzeniu tak przez palce prześlizgnęły, znalazły w Belzebubie upodobanie. Więc je począł małpować, — ale je lepiej wyposażył od ciebie, — wdział je w skórę ludzką — i oto stoją w jednym rzędzie i szeregu z twoimi ludźmi a poznaje się je dopiero wtedy, gdy poczną drapać i kłuć! — (*do Klary*) — Ależ to dobrze, to znakomicie! (*Chce ją objąć*) Chodź! Na wieki! Tym pocałunkiem. —

**Klara.** (*Upada mu w ramiona*) Nie! nie na wieki! — bym tylko nie upadła, — żadnego pocałunku!

**Sekretarz.** Dziewczyno! nie kochasz go — masz słowo swoje zwrócone —

**Klara.** — (*głucho, znowu powstając*) A przecież muszę pójść do niego, muszę na kolana się

przed nim rzucić i bełkotać: „bacz na siwe włosy mego ojca, weź mię!“ —

**Sekretarz.** Nieszczęsna, czy ja cię rozumiem?

**Klara.** — Tak —

**Sekretarz.** Nie! tego żaden mężczyzna ścierpieć nie może: — Przed łotrem, któremu chciałoby się w twarz plunąć, — oczy spuszczać?! — (*gwałtownie Klarę przyciska do siebie*) O biedna, biedna!

**Klara.** Idź już — idź —!

**Sekretarz.** (*pogrążając się w myślach*) Albo należałoby psu, który wie o tem, — kulą w łeb! — Byle miał tylko odwagę! Byle się stawił! Byle go tylko można zmusić! Starciabym się nie lękał.

**Klara.** Proszę cię...

**Sekretarz** (*odchodząc.*) Gdy się ściemni... — (*odwraca się i chwytając Klarę za rękę*) Dziewczyno, stoisz przedemną — (*odwraca się*) Tysiące z jej rodzaju zamilczałoby o tem skrycie i chytrze i dopiero mężowi szepnęłyby w ucho i w duszę w jakiejś chwili upojenia... O czuję, ilem ci winien! — (*odchodzi.*)

## VI. SCENA.

**Klara,** (*sama*) Dalej, dalej, serce moje! — Zewrzej się, by ani jedna kropelka nie mogła się wydostać, któraby krzepnące życie na nowo zapaliła w żyłach! — Oto się znowu coś niby

nadzieja przed tobą odsłoniło! — O! teraz dopiero rozumiem! (*śmiejąc się*) Nie! tego zaden mężczyzna ścierpieć nie może! — A gdyby? — Czy ty mogłabyś puścić to mimo? — Miałabyś odwagę chwycić rękę, która —? Nie! nie! takiej nikczemnej odwagi tybyś nie miała! Musiałabyś się sama zanurzyć w piekle swoim, gdyby ci z zewnątrz chciano drzwi otworzyć! Ty jesteś na wieki..! O! że też ten ból ustaje — że nie tak ciągle wierci z tą samą siłą, ale że są czasem przerwy! Przez to jeno dłużej trwa! — Dręczony sądzi, że spoczywa, bo dręczyciel przerwać musi, by zaczerpnąć oddechu! Jestto chwytnie tchu, jak u tonącego, — gdy go wir ciągnący na dno raz jeszcze wyrzuci, by go natychmiast znów porwać w kleszcze! nic nie ma z tego, jeno podwójną walkę śmiertelną! Cóż? Klaro! — Idę już, ojcze, idę.. Córka twoja nie zapędzi cię w śmierć samobójczą! — Stanę się wkrótce żoną tego człowieka, albo — o Boże! nie! — Nie zebrzę przecie o szczęście, zebrzę o moją nędzę, o moją nędzę najgłębszą — moją nędzę mi dasz! — Precz stąd — gdzie list? (*bierze*) — obok trzech studzien przejdiesz w drodze do niego — Byś mi się tylko przy żadnej nie zatrzymała! Jeszcze nie masz prawa do tego! (*wychodzi.*)

K u r t y n a.

## AKT III.

*Pokój u Leonarda.*

### SCENA I.

**Leonard.** (*przy stole założonym aktami pisze*)  
Byłby to już szósty arkusz od obiadu: — Jakże błogo czuje się człowiek, gdy spełnia swoje obowiązki. Mógłby mi teraz stanąć na progu, kto chce — a choćby to nawet sam król był, — powstałbym tylko, ale bym nie popadł w zakłopotanie! — Wyjąwszy jednego — to jest starego stolarza. Ale w gruncie rzeczy i ten nic mi zrobić nie może. — Biedna Klara! — Żal mi jej, nie mogę bez jakiegoś niepokoju serdecznego o niej myśleć! — Gdyby tego jednego przekłętego wieczoru nie było! — W rzeczywistości więcej we mnie było wtedy zazdrości jak miłości, która — mnie doprowadziła do szaleństw, — a ona poddała się z pewnością tylko dlatego, aby zarzutom moim zadać kłam, bo była zimną wobec mnie, jak sama śmierć. — Czekają ją złe dni — no — ale i ja dosyć przykrości mieć będę. — Niech każdy swoje brzenię dźwiga! — Przedewszystkiem z tym garbuskiem sprawę utwierdzić, by mi i ona nie

umknęła, gdy burza wybuchnie! — Wtedy mam burmistrza po swojej stronie — i nie boję się niczego!

## SCENA II.

**Klara.** (*wchodzi.*) Dobry wieczór ci, Leonardzie!

**Leonard.** Ty, Klara? (*do siebie*) Tegom się nie spodziewałem — (*głośno*) Czyś otrzymała mój list? — Ale — pewnie przychodzisz za twego ojca i chcesz zapłacić podatek. — Ileż to tego? (*wertując w księdze*). Powinienem ci to właściwie z pamięci powiedzieć!

**Klara.** Przychodzę, aby ci list wrócić! — Oto masz go! — Przeczytaj go raz jeszcze!

**Leonard,** (*czyta z wielką powagą*). Zupełnie rozsądny list! Jakże może człowiek, któremu są powierzone pieniądze publiczne, wejść w rodzinę, do której... (*połyka słowo*) do której twój brat należy?

**Klara.** Leonardzie!

**Leonard.** Czy może całe miasto nie ma słuszności. Może brat twój nie siedzi w areszcie? Może nigdy nie siedział w areszcie? — Możesz ty nie siostra zło - - twego brata?

**Klara.** Leonardzie, ja jestem córką mojego ojca, — i nie jako siostra niewinnie oskarżonego którego już uwolniono od winy, — bo takim jest właśnie brat mój — ale jako dziewczyna, która



drzy przed niezasłużoną karą, — bo — (*półgłośno*)  
jeszcze bardziej drzę przed tobą, — ale jako córka  
starego człowieka, który mi dał życie, stoję tu!

**Leonard.** I chcesz — czego?

**Klara** Ty możesz pytać o to? — O gdybym  
mogła się cofnąć! — Ojciec mój gardło sobie po-  
derznie, jeżeli ja — o poślub mnie!

**Leonard,** Twój ojciec —

**Klara.** Przysiągł! — Poślub mnie!

**Leonard.** Ręka i szyja to blizcy kumowie!  
— Żadnej sobie krzywdy nie wyrządzą. — Nie  
rób sobie nic z tego!

**Klara.** Przysiągł! — poślub mnie, — a potem  
zabij! Będę ci za to wdzięczniejszą, jak za  
tamto!

**Leonard.** Czy ty mnie kochasz? Czy przy-  
chodzisz tu dlatego, bo cię do tego serce skłoniło?  
— Czy ja jestem tym człowiekiem, bez którego  
ci ni żyć, ni umierać?

**Klara.** Sam sobie na to odpowiedz!

**Leonard.** Czy możesz przysiądz na to, że  
mnie kochasz? Że mnie tak kochasz, jak dziew-  
czyna człowieka kochać musi, z którym chce  
się związać węzłami dozgonnymi?

**Klara.** Nie, na to przysiądz nie mogę! —  
Ale to ci przysięgam: czy cię kocham, czy nie,  
ty tego nigdy nie poznasz. Będę ci służyła, będę  
za ciebie pracowała, strawy mi żadnej nie dasz, —



sama się będę utrzymywała, będę szyła po nocach i przędła dla obcych, — będę się morzyła głodem, jeżeli żadnej roboty nie znajdę — raczej gryźć będę własną rękę, niżbym poszła do ojca, — by niczego nie spostrzegł. Jak mnie będzie bił, — że może psa nie będziesz miał pod ręką albo — żeś go wypędził, — to raczej własny język połknę, niżlibym miała krzyknąć, — boby to zdradzić mogło sąsiadom, co się dzieje. — Nie mogę przyrzekać, czy skóra moja nie będzie pokazywała pasów twego bata, bo to nie odemnie zależy, — ale będę kłamała, — powiem, że się głową o szafę uderzyłam, albo że się wyslizgnęła na podłodze, bo za gładka; zrobię to, — zanimby ktoś mógł zapytać, skąd te sińce pochodzą? — Poślub mnie! — ja długo żyć nie będę — a jeśli ci się i to za długo będzie wydawało, a nie zechcesz ponosić kosztów rozvodu, by się uwolnić odemnie, to kupisz truciznę w aptece, i postawisz gdzieś, jakby to była trucizna na szczury — a ja nie czekając nawet twego skinięcia sama jej zażyję, zaś na łożu śmiertelnem powiem sąsiadom, że to za miarki cukier wzięła.

**Leonard.** Człowiek, po którym tego wszystkiego się spodziewasz, nie zrobi ci niespodzianki, gdy ci odpowie: nie!

**Klara.** Niechaj więc Pan Bóg nie patrzy na mnie zbyt strasznie, jeśli przybędę, zanim mnie wezwie. Gdyby to o mnie samą chodziło, — tobym ból ten chętnie zniosła; przyjęłabym to kornie, jako karę zasłużoną za — nie wiem za co —

jeśliby mnie ludzie w nędzy mojej deptali nogami, zamiast mi pomódz. — Kochałabym dziecko moje może, gdyby nawet miało rysy tego czystego człowieka—i—przed tą duszą niewinną tylebym łez wylewała, izby,—wrószszy w lata i rozum, nie gardziło matką ani nie przeklinało jej. — Ale ja nie sama — i łatwiejszą będzie na sądzie ostatecznym odpowiedź na pytanie najwyższego Sędziego: dlaczegoś sama się zabiła? — niż na pytanie: czemuś ojca do strasznego czynu doprowadziła?

**Leonard.** Mówisz, jakbyś była pierwszą i ostatnią. Tysiące przed tobą tego samego doznały, — a przecie poddały się temu przeznaczeniu, — tysiące przyjdą po tobie i los swój przyjmą spokojnie. Czy one wszystkie to ulicznice? I one mają ojców, którzy co najmniej kopę przekleństw nowych wymyślili, gdy po raz pierwszy posłyszeli o tem i którzy także mówili o morderstwie i samobójstwie, — a potem wstydzili się i pokutowali za swoje przysięgi i bluźnierstwa przeciw Bogu, — siedli i kołysali dziecko — albo spędzali z niego muchy!

**Klara.** O wierzę, wierzę, że ty tego nie pojmujesz, jak może ktoś w świecie dotrzymać przysięgi!

### III. SCENA.

**Chłopak.** (*wchodzi*) — Oto są kwiaty. — Nie mówić, skąd?

**Leonard.** A! kochane kwiaty! (*Uderza się w czo-*

ło) Do licha! Kapitalnie głupio! Miałem przecie posłać! Jakże wybrnąć z tego! — Nie rozumiem się na takich rzeczach — a tamta mała uważa na to akuratnie, — nie ma nic innego do myślenia! (*bierze kwiaty*). Wszystkich jednak nie zachowam dla siebie (do **Klary**.) Nieprawdaż te tutaj *oznaczają* skruczę i wstyd? Czyś mi tego raz nie powiedziała?

**Klara.** (*Potrząsa głową potakująco*).

**Leonard.** (*do chłopaka*). Zapamiętaj to sobie, chłopcze, te są dla mnie, — wtykam je sobie — widzisz — tu, gdzie serce. — Te, ciemno purpurowe, które jak ogień dymny płoną — odniesiesz. — Rozumiesz? Jak jabłka moje dojrzeją — możesz się zgłosić.

**Chłopiec.** — O, to jeszcze daleko! (*wychodzi*).

#### IV. SCENA.

**Leonard.** — Tak — widzisz, Klaro, — mówiłaś o dotrzymaniu słowa. — Właśnie ponieważ jestem człowiekiem słownym, — muszę ci odpowiedzieć, jakem ci już odpowiedział. — Przed ośmiu dniami odpisałem ci — nie możesz temu zaprzeczyć — list tu leży. — (*podaje jej list, który ona mechanicznie bierze*). Miałem powody, — brat twój — mówisz, że uwolniony, bardzo mnie to cieszy! W tych ośmiu dniach nawiązałem nowy stosunek, — miałem do tego prawo; — tyś nie protestowała dość w porę przeciw mojemu listowi, — byłem wolny przed swoim sumieniem, jak

przed prawem. Teraz przychodzisz, ale tymczasem już dałem słowo i słowo otrzymałem,—tak — (*do siebie*) chciałbym, by tak było, — tamta już doznała takiego samego przypadku, jak ty — żal mi cię (*odsuwa jej włosy na tył głowy; ona pozwala na to zupełnie apatycznie — jakby nic nie widziała wcale*) ale ty przecie zrozumiesz— z burmistrzem niema żartów.

**Klara.** — (*jakby bez duszy*). Niema żartów.

**Leonard.**—Widzisz, stajesz się rozsądną! A co się tyczy twojego ojca, — możesz mu śmiało rzec w twarz, że sam jest winien wszystkiemu!—Nie patrz na mnie tak osłupiałym wzrokiem, — nie potrząsaj głową, — tak jest, dziewczyno, tak jest! — Powiedz mu to tylko, on to zrozumie i wejdzie w siebie — rękę ci za to! (*do siebie*) Kto wiano córki wyrzuca, — nie powinien się dziwić, że mu osiada na koszku! — Gdy myślę o tem, drętwieje mi kark porządnie;—zyczyłbym sobie, by ten stary drab tu był, by należytą dostać naukę. — Czemu ja tak okrutnym być muszę! Tylko dlatego, że on był głupcem. Cokolwiek z tego wyniknie, on będzie odpowiedzialnym za to, — to jasne (*do Klary*). Albo może chcesz, żebym sam się z nim rozmówił? Dla ciebie narażę się na podbicie oka i pójdę do niego — Może gburem się wobec mnie okazać, może mi chłopca od butów cisnąć w głowę,—ale prawdę mimo kolek w żywocie, które mu ona sprawi, połknie i zostawi cię w pokoju. — Spuść się na to! Czy jest w domu?—

**Klara.** (*prostuje się*). Dziękuję ci. (*chce odejść*)

**Leon.** Chcesz, bym cię podprowadził do domu! — czuję w sobie tyle odwagi!

**Klara.** Dziękuję ci, jakbym podziękowała zmił, któraby mnie oplótłszy, sama z kleszczów puściła i odskoczyła, bo ją inny łup już wabi. — Wiem, że ukąszona, — wiem, że mnie zmija dlatego tylko uwalnia, bo jej się niegodnem trudu wydaje, — tę trochę szpiku wyssać z moich kości, ale mimo to dziękuję jej, — bo teraz mieć będę spokojną śmierć. — Tak, człowieku, — to nie żadne kpiny, — dziękuję ci! — zdaje mi się, jakbym pierś twą przejrzała aż na dno piekła! — a jakkolwiek czeka mię los w straszliwej wieczności, z tobą nie mam już nic wspólnego — a to samo już jest pociechą. — I jak się nie łaje nieszczęśliwego, którego wąż ukąsił, za to, że w lęku i w wstręcie rozpruwa sobie żyły, by życie zatrute zeń szybko mogło wypłynąć, — tak może i nademną ulituje się Łaska Przedwieczna, gdy popatrzy na ciebie i na mnie, coś ty ze mnie zrobił, — bo i dlaczegożbym mogła była to uczynić, gdybym tego nigdy uczynić nie musiała. A teraz jeszcze jedno. — Ojciec mój nie wie o niczem, nic nie przeczuwa — i aby się nigdy o tem nie dowiedział, ja dziś jeszcze zejdzę z tego świata. — Mogłabym pomyśleć, że ty, — (*gwałtownie postępuje o krok ku niemu*) Ale — to jest dzieciństwo, tobie to tylko będzie na rękę, — gdy oni tak wszyscy będą stali dokoła i gło-



wami potrzęsali i naprózno pytali „dlaczego to się stało“?...

**Leonard.** Zdarzają się wypadki! — Cóż można zrobić? Klaro!

**Klara.** Uciec mi stąd! Ten człowiek może coś jeszcze mówić? (*Chce odejść*).

**Leonard.** Czy myślisz, że ja ci wierzę?

**Klara.** Nie!

**Leonard.** Nie możesz Bogu dzięki stać się samobójczynią, nie będąc zarazem dzieciobójczynią.

**Klara.** Wszystkiem raczej, jak zabójczynią ojca! — O! ja wiem że się grzechem za grzech nie pokutuje. Ale to, co teraz czynię, to spada na mnie samą! A jeśli ojcu włożę nóż w rękę! — uderzy to w niego zarówno, jak we mnie. Na mnie w każdym razie spaść musi! — To mi dodaje odwagi i siły w tej mojej trwodze! — Tobie dobrze dziać się będzie na świecie! (*odchodzi*).

## V. SCENA.

**Leonard.** (*sam*) Muszę! Muszę ją poślubić — I dlaczegoż muszę? Ona szalony chce popełnić krok, aby od szaleńszego jeszcze kroku powstrzymać ojca; gdzie tu jest konieczność, że ja jej krok czemś jeszcze bardziej szalonem powstrzymać muszę? Ja jej uznać nie mogę, przynajmniej dopóty, dopóki nie ujrzę przed sobą

tego, któryby mnie znowu najszaleńszym krokiem chciał ubiedz, — a jeśli ten taksamo myśli, jak ja, — to niema końca... To brzmi wcale rozsądnie, a jednak — Muszę pójść za nią! — Ktoś nadchodzi! — Bogu dzięki! — niema nic tak strasznego, jak tłuc się z własnymi myślami! — Rebelia w głowie, gdzie robak robaka płodzi — i jeden w drugiego się wgryza, — to najgorsze ze wszystkiego!

## VI. SCENA.

**Sekretarz.** (*wchodzi*) Dobry wieczór!

**Leonard.** Pan Sekretarz? Czemuż zawdzięczam zaszczyt?

**Sekretarz.** Zaraz zobaczysz!

**Leonard.** Ty? — Niewątpliwie — byliśmy kolegami w szkole.

**Sekretarz.** I może będziemy kolegami — w śmierci. (*dobywa pistoletów*) Umiesz się z tem obchodzić?

**Leonard.** Nie rozumiem pana...

**Sekretarz.** (*odwodzi pistolet*) Widzisz? Najpierw się tak robi. Potem mierzysz we mnie, jak teraz ja w ciebie — i odwodzisz kurek! Tak!

**Leonard.** Co pan mówi!

**Sekretarz.** Jeden z nas obu zginąć musi! Zginąć! I to natychmiast.

**Leonard.** Zginąć?

**Sekretarz.** Ty wiesz, dlaczego?

**Leonard.** Na Boga, nie!

**Sekretarz.** To nic, — zrozumiesz już to — w chwili śmierci...

**Leonard.** Nawet się nie domyślam...

**Sekretarz.** Zastanów się!—bo bym cię uważać mógł za psa wściekłego, który — sam o tem nie wiedząc — pokąsał to, co mam najdroższego — i mógłbym ci w łeb strzelić — jako takiemu, — podczas gdy teraz muszę cię jeszcze przez pół godziny uważać za równego sobie...

**Leonard.** Proszę tak głośno nie mówić! Gdyby kto posłyszał...

**Sekretarz.** — Gdyby mnie kto mógł słyszeć, byłbyś go dawno już zawołał!—Więc?

**Leonard.** Jeśli chodzi o pannę, — to mogę ją poślubić! — Na to byłem już pół na pół zdecydowany, — kiedy ona sama tu była.

**Sekretarz.** Ona tu była? — i znowu odeszła, nie zobaczywszy cię u stóp swoich skruczą powalonego? Chodź! Chodź!

**Leonard.** Proszę pana... Widzi pan przed sobą człowieka, który jest gotów na wszystko, co tylko pan rozkaże... Jeszcze dziś wieczór zaręcze się z nią...

**Sekretarz.** To uczynię ja, albo nikt inny! A choćby od tego los świata zawisł, — ty nie

śmiesz odtąd ni skraju jej sukni dotknąć! Chodź!  
— W las ze mną! — Ale pamiętaj, — pod ramię  
cię wezmę,—a gdybyś na drodze choć pisnął,—  
tobym cię—(*podnosi pistolet*)—Wierz mi! Zresztą  
i tak, ażeby cię nie skusiło, — pójdziemy drogą,  
tam — z tyłu za domem przez ogrody —

**Leonard.** Jeden jest dla mnie; — proszę mi  
go dać!

**Sekretarz.** Ażebyś go odrzucił i w ten spo-  
sób zmusił mnie do zamordowania ciebie—albo  
do puszczenia cię wolno!? nie prawdaż? — Cier-  
pliwości, aż staniemy na miejscu, — tam się  
rzetelnie z tobą podzielę!

**Leonard.** (*idzie i niechcący strąca szklankę  
z stołu*) Czy mogę się napić?

**Sekretarz.** —Ochoty, mój chłopcze! — może  
się poszczęści,—Bóg i Szatan zdają się ustawicz-  
nie wieść batalie o świat! — Kto wie, kto teraz  
właśnie jest Panem! (*bierze go pod rękę i od-  
chodzi*).

## VII. SCENA.

*Izba w domu stolarza. — Wieczór.*

**Karol.** (*wchodzi*) — Nikogo w domu! — Gdy-  
bym nie znał tej mysiej dziury, gdzie chowają  
klucz zwykle, jak się wszyscy zabierają, — nie  
byłbym mógł wejść! — — No! — ale toby mi  
wcale nie szkodziło —! Mógłbym teraz 20 razy  
obiedz dokoła miasta i wyobrazać sobie, że nie-

ma większej przyjemności, jak poruszać nogami!— Zapalę lampę.—(czyni to). Pewnie na temsamem miejscu stoi—założę się, bo my tu w domu mamy dwa razy po dziesięcioro przykazań. Kape-lusz należy do trzeciego kołka, —nie do czwartego!—O w pół do dziesiątej musi się być zmęczonym i śpiącym! Przed św. Marcinem nie wolno marznąć,—po św. Marcinie nie wolno się po-cić!—To wszystko stoi w jednym rzędzie z przykazaniem: — „Będziesz czcił i kochał Boga swego“! — Pić mi się chce! (woła) Matko! Tfu! Jak-bym zapomniał, że leży już tam, gdzie i parobek szynkarza nie potrzebuje pyska roździwiać do krzyku. — „Służę panu“, —gdy się go woła.. Nie płakałem, kiedym posłyszał dzwon pogrzeb-owy w swoim ciemnym lochu, —ale— czerwony kubraku! — nie pozwoliłeś mi w kręgielni na ostatni rzut, choć-em miał kulę już w rękach— a ja ci nie zostawię czasu na to, byś ostatni raz odetchnął, — gdy cię znajdę samego — a to się stać może dziś wieczór jeszcze! — Wiem, gdzie cię szukać o dziesiątej. A potem w marynarkę! Gdzież ta Klara? Chce mi się jeść i pić! — Dziś czwartek —aha! jedli rosół z cieleciną. — Gdyby była zima, byłaby kapusta, przed wtorkiem za-pustnym głowiasta, po wtorku zapustnym jar-muż.—To jest tak pewne, jak to, że musi przyjść czwartek, gdy minęła środa, — a nie może po-wiedzieć do piątku: Idź ty za mnie,—mam nogi pokaleczone!



## VIII. SCENA.

**Klara.** (*wchodzi*).

**Karol.** Nareszcie! — Możebyś się też tyle nie całowała! Gdzie się cztery wargi czerwone zetkną, tam dla dyabła most zbudowany! — Co tu masz?

**Klara.** Gdzie? co?

**Karol.** Gdzie? co? — w ręce!

**Klara.** Nic.

**Karol.** Nic? — Cóż to? Tajemnica? (*wyrywa jej z ręki list Leonarda*). — Dawaj! Jak niema ojca, to brat opiekunem!

**Klara.** Trzymałam mocno ten świstek, — choć wicher taki wieje, że zrywa cegły z dachu. — Gdym przechodziła obok kościoła, — spadła jedna już przedemnie, zem sobie nogę o nią potłukła. — O Boże! — pomyślałam — jeszcze jedna! — i stanęłam! — Toby było tak pięknie, — pogrzebanoby mnie i mówionoby: — nieszczęście miała! przypadek! — Napróżnom czekała na drugą!

**Karol.** (*przeczytawszy list*) — Pioruny i — !!  
Czekaj łotrze, rękę, co to pisała, — skruszę ci! — Kup mi flaszkę wina! — A może twoja skarbonka pusta?

**Klara.** Jest jeszcze jedna flaszką w domu! Kupiłam ją skrycie na urodziny matki — i schowałam. — Jutro byłby właśnie ten dzień...

**Karol.** Daj ją tu!

**Klara.** (*przynosi wino*).

**Karol** (*pije chciwie*) No teraz moglibyśmy znowu zacząć: — heblować, rznąć piłą — walić młotem — a wśród tego, jeść, pić i spać, — ażebyśmy znowu mogli heblować, rznąć piłą i walić młotem, — w niedzielę zaś do tego klęknąć: „Dziękuję ci Panie Boże, że wolno mi heblować, rznąć piłą i walić młotem! (*Pije*). Zdrowie każdego uczciwego psa, co łańcucha nie gryzie! — (*pije znowu*). Raz jeszcze: Vivat!

**Klara.** Karolu, nie pij tyle! Ojciec mówi, że w winie siedzi dyabeł.

**Karol.** A ksiądz mówi, że w winie siedzi Bóg! (*Pije*). — Zobaczymy, kto z nich ma słuszność. Woźny był tu w domu — jak się zachowywał?

**Klara.** Jakby w jakiejś jaskini złodziei. — Matka upadła i umarła, ledwie usta otworzył.

**Karol.** Dobrze! — Jak jutro posłyszysz, — że tego łotra znaleziono trupem, — nie przeklinaj mordercy...

**Klara.** Karolu, ty przecie nie...

**Karol.** Cóżto? czy mu ja sam tylko wrogiem? Czy go to nie napadano już nieraz? Ciężko byłoby z tych wielu, którymby ten czyn można przypisać, — wynaleźć właściwego, jeśli tylko laski albo kapelusza nie zostawi na miej-

scu! (*Pije*). Ktokolwiek to będzie: na zdrowie i powodzenie!

**Klara.** Bracie, mówisz...

**Karol.** Nie podoba ci się? Daj tylko spokój! Już mię nie długo będziesz widziała!

**Klara.** (*wstrząsnąwszy się*) Nie długo!

**Karol.** Nie długo? Czy ty już wiesz, że ja chce pójść w marynarkę? Czy mi to moje myśli łożą po czole, że je wyczytujesz? Alboż czy stary według swojego zwyczaju wściekał się i groził, że drzwi zamknie przedemną! — E... e! — To tak, jakby mi pachol więzienny przysiągł: nie będziesz już dłużej w areszcie siedział, wyrzucę cię za drzwi! —

**Klara.** Nie rozumiesz mnie!

**Karol** (*śpiewa*).

Tam okręt żagle wydyma,  
Ochoczo wieje w nie wicher!

Tak, dalibóg, teraz to mię już nic nie przykuwa do tej ławki stolarskiej! Matki niema,—niema nikogo, ktoby po każdej burzy przestawał spożywać ryb, a zresztą, było to mojem życzeniem od dzieciństwa! — W świat! — Tu — Jakos się nie udaję,—nie rosnę... albo może wtedy dopiero hym rósł, gdybym na pewno wiedział, że szczęście nie sprzyja śmiałemu, który ryzykuje swoje życie, — który miedziaka, co go to z wielkiego skarbcza otrzymał,—znowu rzuca na

loteryę, by widzieć, czy go ta skryje, czy odda złotego...

**Klara.** I ty chcesz ojca samego zostawić? Przecież już ma 60 lat..

**Karol.** Jaktó samego? Czy ty z nim nie zostajesz?

**Klara.** Ja?

**Karol.** No ty!—Jego pieszczota!—Jakież ci chwasty rosną w głowie, że się tak pytasz! — Jego pociechę mu zostaniam, a nwalniam go od ciągłego zmartwienia, jak odejdę;— czemużbym tego nie miał zrobić? My raz na zawsze, nie jesteśmy dla siebie: — jemu wszędzie za szeroko — onby chciał pięść zamknąć i wleźć w nią — a ja — chciałbym zedrzeć skórę z siebie, gdyby się tylko dało... (*śpiewa*).

Kotwicę już wzniesiono,  
Czem prędzej ster zwrócono!  
Hej! lotnie okręt mknie!

No powiedz sama, czy choćby przez chwilę wątpił w moją winę? — I czy nie znajdował pociechy w tem swoim ciągłym przemądem: „tegom się spodziewał“, „zawszem tak myślał“ — „to się nie mogło inaczej skończyć.“ — Gdybyś to ty była, to byłby się zabił! — Chciałbym go widzieć, gdyby tak ciebie spotkał kiedyś przypadek kobiecy... Byłoby mu tak, jakby sam zaszedł w ciążę! — Niech to dyabli wezmą!

**Klara.** O jak mnie to chwyta za serce! Ja muszę... muszę...

**Karol.** Co to ma znaczyć?

**Klara.** Muszę—pójść do kuchni—cóżby innego? (*chwytając się za czoło*)—Tak!—Jeszcze to!... Po tom przecie wróciła do domu! (*wychodzi*).

**Karol.** No—ta to mi się już bardzo dziwną wydaje... (*śpiewa*)

Zuchwały morski ptak  
Kracze, witając maszt!

**Klara.** (*wchodzi znowu*). — Poczyńska już wszystko, dla ojca podwieczorek na ogniu; kiedy zamykała za sobą drzwi od kuchni—i pomyslała: „Nigdy już tu nie wejdiesz“, — przeszły mi dreszcze przez duszę. — I tak wyjdę z tej izby, tak wyjdę z tego domu, tak ze świata tego...

**Karol.** (*śpiewa, chodząc tam i napowrót; Klara zostaje w tyle*).

Słoneczko z góry strzela,  
A rybka złotoskrzela,  
Opływa gościa wkrąg!

**Klara.** I dlaczego tego nie robię? Czy nigdy nie zrobię? — Czy będę zwlekała z dnia na dzień, jak teraz z każdą minutą, aż—Pewnie! Dlatego precz stąd!—precz!—A jednak stoję i czekam... Czy to mi się zdaje, jakoby coś w łonie mojem rączki podnosiło, jakoby oczęta... (*siada na krzesło*). — Co to ma znaczyć? Czyś ty za słaba na to? —Więc się zapytaj, czyś dość silna, by ojca z poderżniętem gardłem... (*powstaje*) Nie! nie! — „Ojcie nasz, który jesteś w niebie“—przyjdź kró-



lestwo twoje, — Boże! Boże! moja biedna głowa —nie mogę się nawet modlić! — Bracie! bracie! —pomóż mi...

**Karol.** Cóż z tobą?

**Klara.** Ojcze nasz! (*przytomnieje*). Zdawało mi się, że leżę już w wodzie i tonę—a jeszcze się nie pomodliła—Ja — (*nagle*) „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“! — Przecież! Tak! tak! — przebaczam mu zupełnie — przecie już o nim nie myślę... Dobranoc, Karolu!

**Karol.** Tak wczesnie idziesz spać? Dobra noc!

**Klara.** (*jak dziecię, które sobie Ojczenasz powtarza*) Odpuść nam —

**Karol.** Mogłabyś mi jeszcze przynieść szklanekę wody,—ale musi być świeża i zimna.

**Klara.** (*szybko*) Przyniosę ci z studni!

**Karol.** Jak chcesz! To przecie niedaleko!

**Klara.** O dzięki, dzięki! — To jedno mnie jeszcze uciskało. — Czyn sam musiał się wydać! Teraz już powiedzą: Spotkało ją nieszczęście! wpadła!

**Karol.** Uważaj tylko— deska ciągle jeszcze nie przybita..

**Klara.** Przecie księżyc jasno świeci! O Boże! — idę tylko dlatego, boby mój ojciec poszedł,

Przebacz mi, jak ja — Bądź miłościw mnie grzesznej... bądź miłościw! (*odchodzi*).

## IX. SCENA.

**Karol.** (*śpiewa*)

O jakbym wskoczył chętnie!—  
Tam hen!—królestwo me!

Aha!—ale przedtem (*patrzy na zegar*) którażto?  
Dziewiąta!

Wszak jeszcze młody w lata—  
Myśl w drogę gdzieś ulata,—  
A dokąd?—licho wie!

## X. SCENA.

**Majster Antoni.** (*wchodzi*).

Miałbym cię właściwie przeprosić. — ale — skoro ci przebaczam, żeś skrycie pozaciągał długie, a nadto sam je za ciebie płacę, — to może będę mógł sobie zaoszczędzić tego.

**Karol.** Jedno dobre,—a drugie nie konieczne, — jak sprzedam moje suknie niedzielne, to będę mógł zaspokoić wszystkich, co po kilka talarów mają u mnie — i zaraz jutro z rana to zrobię. Jako marynarz (*do siebie*) wylazło! — (*głośno*) niepotrzebuję nic wcale!

**M. Antoni.** Co to znowu za brednie!?

**Karol.** Nie pierwszy raz je słyszycie, — ale odpowiedźcie mi teraz na to, co chcecie — ja od planu mego nie odstąpię.

**M. Antoni.** Jesteś pełnoletnim, to prawda!

**Karol.** Właśnie dlatego, że nim jestem, nie będę się zuchwiał,—ale tak myślę sobie, że ptak i ryba nie powinny się spierać z sobą, gdzie lepiej, czy w powietrzu, czy w wodzie. Jeszcze jedno tylko. — Albo mnie nigdy nie zobaczycie, albo mnie jeszcze poklepiecie po ramieniu, i powiecie: „dobrześ zrobił“.

**M. Antoni.** Poczekamy! — Nie potrzebuję więc czeladnika, któregoś na twoje miejsce przyjął odprawiać znowu? Cóż dalej?

**Karol.** Dziękuję wam.

**M. Antoni.** Powiedzno, czy woźny zamiast cię zaprowadzić jak najkrótszą drogą do burmistrza, naprawdę cię... tak... po całym mieście...

**Karol.** Z jednej ulicy w drugą — przez rynek — jak wołu zapustnego — ale nie bójcie się, —ja mu zapłacę, zanim odejdę—

**M. Antoni.** Tego nie ganię, ale zakazuję ci!

**Karol.** Ho! ho!

**M. Antoni.** Z oczu cię nie spuszczę i sam bym łajdakowi przybył z pomocą, jakbyś go naruszył!

**Karol.** Myślałem, że wy też matkę kochaliście.

**M. Antoni.** Pokażę to dowodnie!

## XI. SCENA.

**Sekretarz.** (*wchodzi blady i chwiejający się przyciska chustkę do piersi*). Gdzie Klara? — (*Upada na krzesło.*) Jezu! — Dobry wieczór! — Bogu dzięki, zem się tu jeszcze dowlókl! Gdzie ona?

**Karol.** Poszła... Gdzie tak długo? — Jej słowa!... strach mnie bierze! (*wychodzi*).

**Sekretarz.** Ona pomszczona — łotr leży już... Ale i ja... Dlaczegoż-to Boże? — Teraz już nie mogę jej...

**M. Antoni.** Co to znaczy? Co się z panem dzieje?

**Sekretarz.** Zaraz się skończy... Dajcie mi rękę na to, że nie odtrącicie córki od siebie... Słyszycie? — nie odtrącicie, jeżeli ona...

**M. Antoni.** Dziwne to są słowa. — Czemuż bym miał ją? — Ha! otwierają mi się oczy! — Miałbym prawdę... miałbym nie wyrządzić jej krzywdy!

**Sekretarz.** Podajcie mu rękę!

**M. Antoni.** Nie! (*wkłada obie ręce w kieszenie*). Ale zrobię jej miejsce — i ona to wie, — powiedziałem jej to...

**Sekretarz.** (*przerażony*). Powiedzieliście jej? — nieszczęsna teraz rozumiem cię zupełnie, —

**Karol.** (*wbiega gwałtownie*) Ojciec! ojciec! — Ktoś leży w studni! — Byle to tylko nie...

**M. Antoni.** Drabiny długiej! — Oseków! Sznurow! — Czemu się ociągasz? Prędko! Czy aby to nie woźny!?

**Karol.** Wszystko już jest.. Sąsiedzi przyszli przedemną — Byle to tylko nie była Klara. —

**M. Antoni.** Klara.?: (*opiera się o stół*)

**Karol.** Wyszła, by zaczerpnąć wody — i znalaziono jej chustkę..

**Sekretarz.** Łotrze! teraz wiem, dlaczego kuła twoja ugodziła! Z powodu niej..

**M. Antoni.** Popatrz! (*siada*) Ja nie mogę.. (*Karol — wybiega*) — A przecie (*znowu powstaje*). Jeślim go (*do sekretarza*) należycie zrozumiał, to wszystko dobrze!

**Karol** (*wbiega*) Klara! — trup! — Głowa okropnie potrzaskana o brzeg studni, kiedy ona — Ojciec, ona nie wpadła, — ona sama wskoczyła — widziała to jedna dziewczka!..

**M. Antoni.** Ta niech się wprzód porządnie namyśli, zanim to powie. To nie dość jasne, żeby mogła na pewne rozróżnić!

**Sekretarz.** Wątpicie? — Chcielibyście, ale nie możecie! Pomyślcie, jeno o tem, coście jej rzekli! — Wyście ją na drogę śmierci wygnali! — ja temu winien, że nie zawróciła z niej — Wyście, przeczuwając jej nieszczęście, myśleli tylko o językach — któreby za wami! syczały, — a nie o nikczemności żmij, do których te języki na-



leżą — i powiedzieliście słowa, które ją doprowadziły do rozpaczki: A ja zamiast ją objąć w ramiona, kiedy jej serce w bezgranicznej trwodze przedemną się odsłoniło,—myślałem tylko o łajdaku,—któryby mógł na to patrzeć szydersko— i — teraz płacę za to życiem, żem się od człowieka, który gorszym był odemnie, uczynił zależnym! — a i Wy, choć niby stoicie tacy mocni, jak żelazo — i Wy kiedyś powiecie: O córko, wolałbym, byś mi nie zaoszczędziła potrzasań głowami i wzruszań ramionami faryzejczyków,—boć silniej mnie to gniecie, że nie siedzisz przy mojem łożu śmierci i nie ocierasz ze mnie śmiertelnego potu..

**M Antoni** Nie zaoszczędziła mi tego! — widziano jej czyn! eezu!

**Sekretarz.** Ona zrobiła, co mogła — Wyście nie byli godni, by się czyn jej powiódł.

**M. Antoni.** Albo o n a nie!

*(Z zewnątrz hałasy)*

**Karol.** Przychodzę z nią *(chce odejść)*.

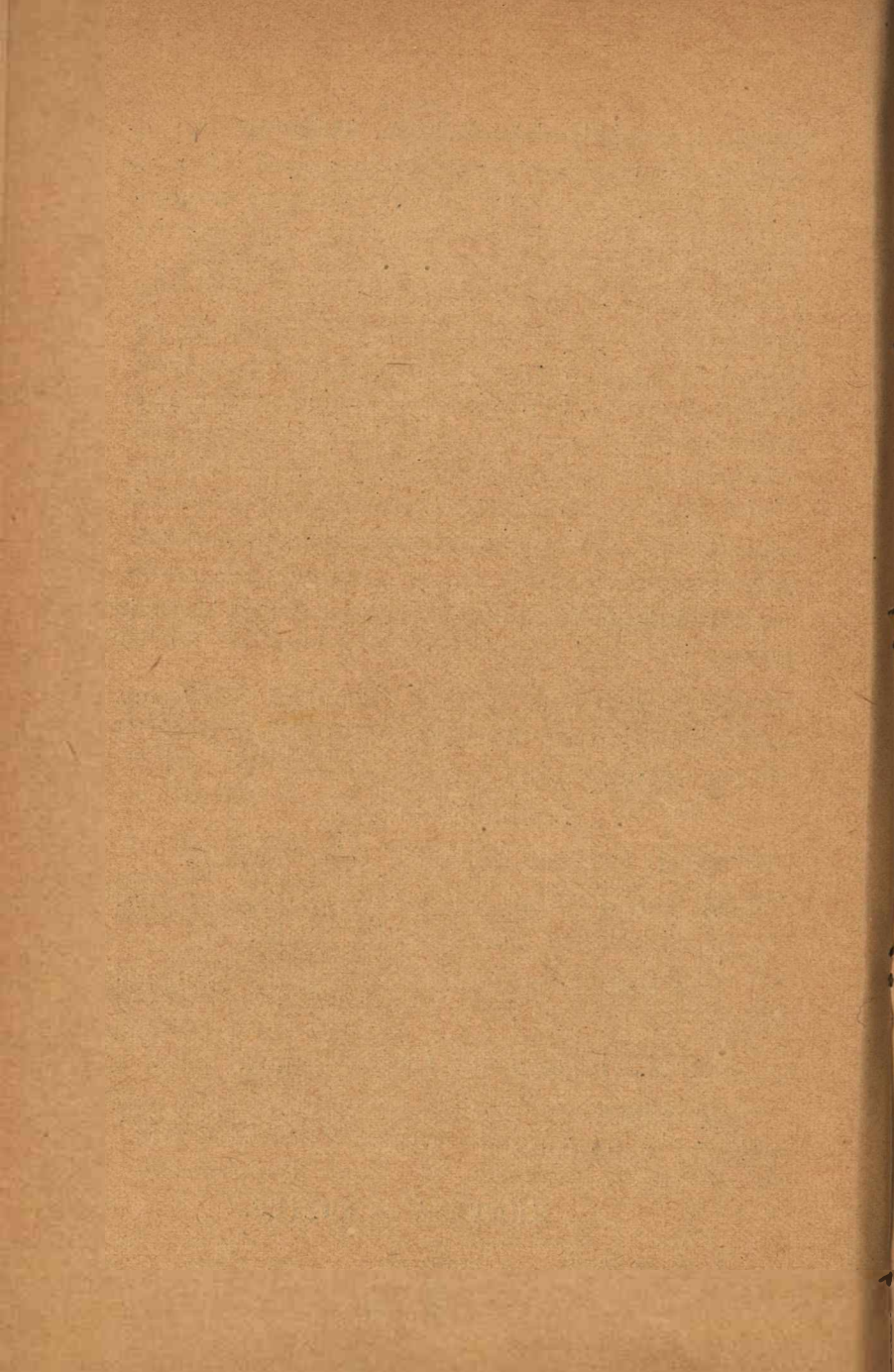
**M. Antoni.** *(silnie, jak i dokońca, woła za nim)*  
Do tylnej komory, gdzie matka leżała!

**Sekretarz.** Ku niej!... *(chce powstać ale upada znowu)* Karolu!

**Karol.** *(pomaga mu i odprowadza)*.

**M. Antoni.** Ja już świata nie rozumiem więcej! *(stoi zamyślony)*

**KURTYNA — KONIEC.**



FELIKS WEST KSIĘGARNIA w BRODACH.

---

Biblioteka nowoczesnych pisarzy

---

Dr. PIOTR CHMIEŁOWSKI. ■

JAN KASPROWICZ

Próba Charakterystyki z portretem poety.

*Cena K 1.20., w oprawie K 2.—*

---

MARYA COLONA WALEWSKA (hr. Wielkopolska.)

„SEŃ“

dramat w trzech aktach z ilustracją Z. Aleksandrowicza.

*Cena wydania zwykłego K 1.20., wyd. wytwor. K 2.—*

---

ARTUR SCHNITZLER.

„L A L K I“

(*Der Puppenspieler*)

Studjum w 1-nym akcie przetłumaczył i wstępem zaopatrzył  
Gustaw Baumfeld.

*Cena 80 hal. wydanie ozdobne K 1.50.*

---

KARIN MICHAELIS.

„Losy Ulli Fangel“

dzieje młodości i małżeństwa. Z duńskiego przełożył  
Edgar Schnell.

==== *Cena 1 Korona* ====

---

ADAM MICKIEWICZ.

„GRAŻYNA“

w trzy ustępy dramatyczne ułożył Gustaw Baumfeld.

*Cena 1 Korona.*

---

---

---

KSIĘGARNIA  
FELIKSA WESTA W BROADACH

poleca:

# Zasady piękna w sztuce

przez Prof. Karola Wróblewskiego.

Dzieło to, bogato ilustrowane, obejmuje

~~~~~ ARCHITEKTURĘ ~~~~~

~~~~~ RZEŹBĘ ~~~~~

~~~~~ MALARSTWO ~~~~~

*ze szczególnem uwzględnieniem sztuki polskiej.*

Dzieło to podzielone jest na dwie części; w pierwszej starał się autor przedstawić najważniejsze zasady piękna w architekturze, rzeźbie i malarstwie, w drugiej zaś części historję rozwoju tych sztuk, **ze szczególnem uwzględnieniem sztuki polskiej.** Liczne ryciny ozdabiają tę książkę, niska zaś cena ułatwia nabycie i rozpowszechnienie.  
**Cena egz. K 5, oprawnego K 6, w oprawie ozdobnej K 7**

---

---



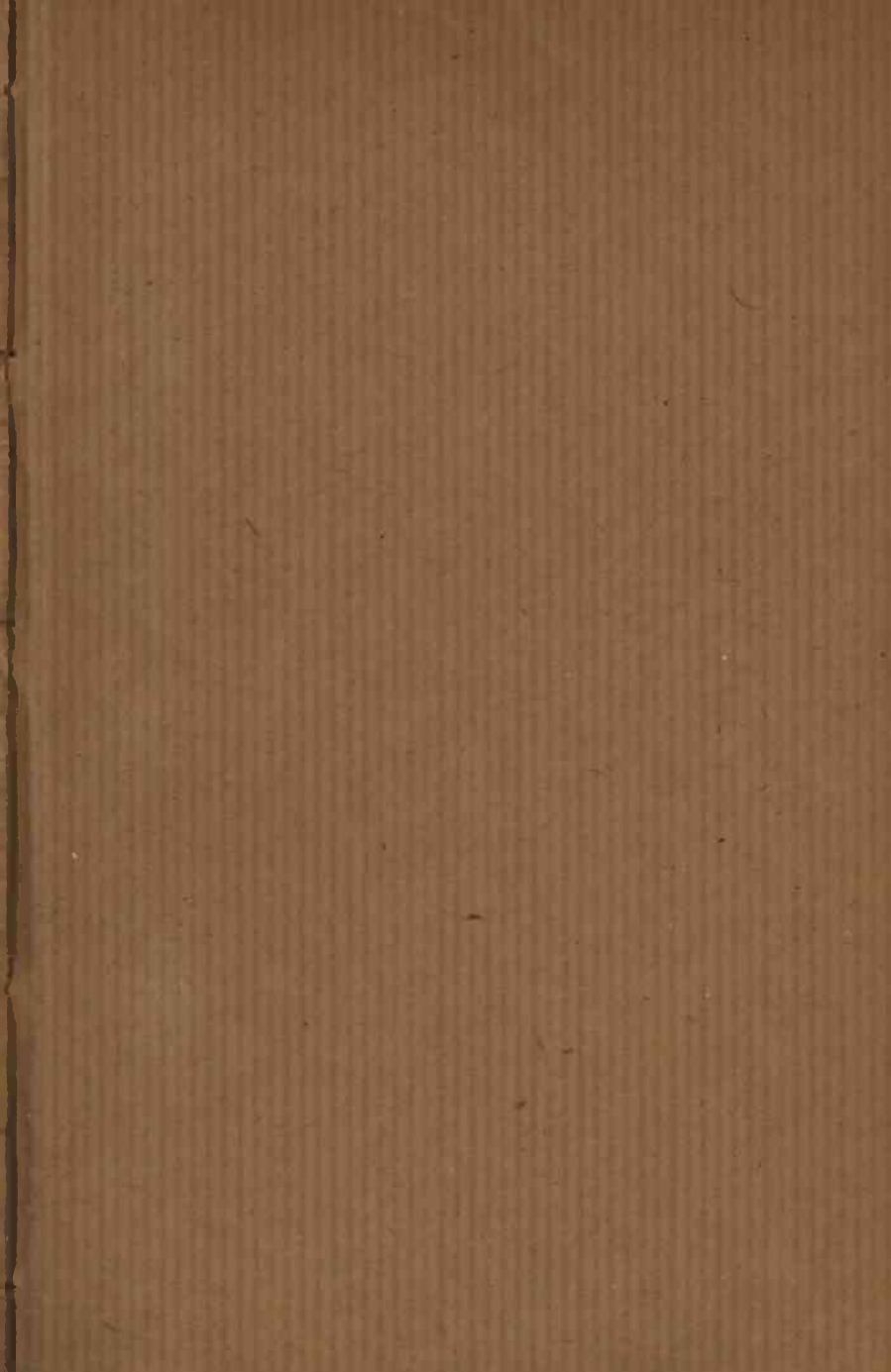
CH

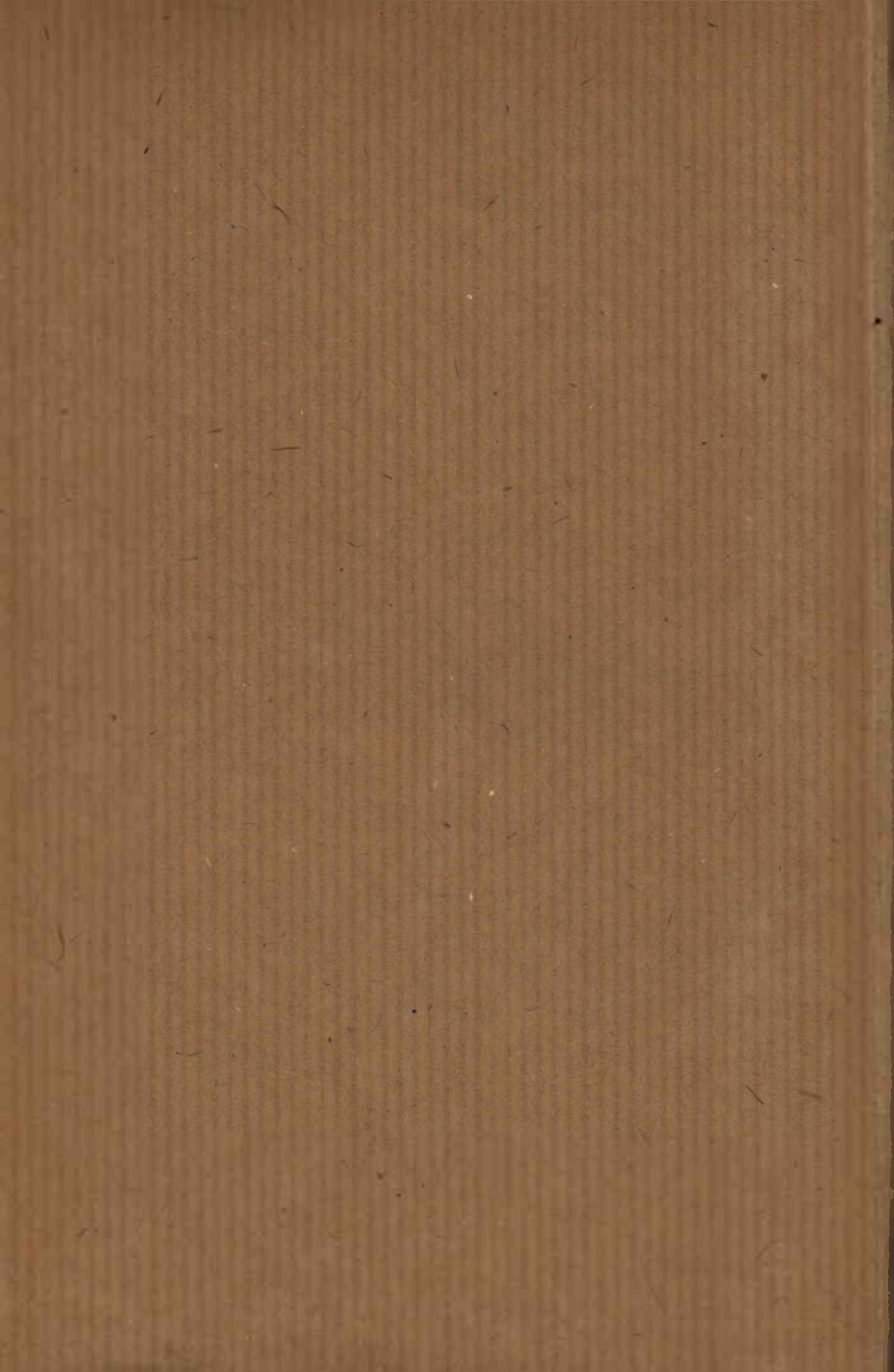
wsze  
pie  
za  
głe  
siąż  
enie  
K 7



Biblioteka Uniwersytetu  
M. CURIE-SKŁODOŃSKIEJ  
w Lublinie

|   |       |  |
|---|-------|--|
| H | 18983 |  |
|---|-------|--|







Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 18983

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki